

Mysł Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT—FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 73

5 lipca, 1944

Cena (Price) 1/-

PIĘĆ LAT RZĄDÓW FRONTU MORGES

NIKT nie może chyba twierdzić, że jest rzeczą bez znaczenia zdawanie sobie sprawy, kto w sensie zespołu politycznego ponosi odpowiedzialność za rządy polskie w ciągu obecnej wojny. Powiedzenie, że ponoszą ją jednostki: najpierw śp. gen. Wł. Sikorski a potem p. Mikołajczyk, byłoby oczywiście, zwłaszcza w stosunku do tego ostatniego, ogromną przesadą. Powiedzieć, że ponosi ją zespół stronnictw lewicy i centrum jest prawdą tylko częściową. Stronnictwa te akceptowały rząd i trochę *volens nolens* przyjęły za niego odpowiedzialność, ale o istotnym w nim układzie nie decydowały. Rząd Mikołajczyka powstał jako prosta, możnaby niemal powiedzieć mechaniczna, kontynuacja rządu gen. Sikorskiego, gdzie wicepremier został prosto premierem, tyle tylko, że przedstawicielowi socjalistów nadano tytuł wicepremiera. Rząd gen. Sikorskiego (ostatni) był również tylko kontynuacją mechaniczną jego rządu pierwszego z tym, że był formacją okaleczoną politycznie wskutek ustąpienia w r. 1941 narodowców i piłsudczyków. Waszysko zatem cofa nas do powstania pierwszego rządu emigracyjnego we wrześniu 1939 w Paryżu. Mroczne salony starego "Hotel du Danube" są kolebką wszystkich dotychczasowych rządów polskich w czasie tej wojny.

W tym pierwszym rządzie na obcej ziemi zasiedli ludzie ze wszystkich większych ugrupowań politycznych polskich. Jednakże nie byli oni wyznaczeni przez swoje organizacje, nie mieli mandatów, nie byli nawet, z wyjątkiem jednego gen. Hallera, prezesami stronnictwa. Mógłby ktoś przypuszczać, że ślepy przypadek, traf znalezienia się we Francji takich a nie innych polityków polskich zdecydował o składzie rządu. Byłoby to przypuszczenie nieuzasadnione. Niektórzy politycy, przebywający niemal od samego początku nie byli do rządu zaproszeni, na innych, nieobecnych, czekano z zarezerwowanym miejscem. Przypadek, zwłaszcza w nastroju pierwszych chwil po klęsce, grał wielką rolę ale, za przypadkiem krył się określony plan polityczny, a pierwsze miesiące urzędowania w Paryżu służyły do poprawienia przypadkowości w określonym kierunku.

Plan tkwiący za przypadkiem nie powstał w głowie gen. Sikorskiego we wrześniu w Paryżu ani też gen. Sikorski nie był wyłącznym jego autorem. By ten plan przeniknąć, trzeba się cofnąć jeszcze parę lat wstecz.

W latach trzydziestych powstał w ówczesnych stosunkach polskich plan, który w związku ze znanym spotkaniem jego pierwszych wykonawców w willi Paderewskiego nad Lemanem, uzyskał popularną nazwę "Frontu Morges." Zamiśl polityczny stworzenia szerokiego możliwie frontu autorytetów politycznych przeciw "sanacji" powstał, jak wszystko wskazuje, w otoczeniu gen. Sikorskiego, przebywającego wówczas we Francji. Na zamyśle tym zaciążyło doświadczenie polityczne lat dwudziestych.

Przed Majem żadna partia polska nie była zdolna sama wyłonić rządu i, przy najbardziej parlamentarnej konstytucji, rządy były, z dwoma wyjątkami: gabinetu Witosy w r. 1920, który miał charakter rządu jedności narodowej w obliczu niebezpieczeństwa i drugiego gabinetu Witosy w r. 1923, który miał charakter rządu większości centrowo-prawicowej — stale *pozaparlamentarne*. Po zamachu majowym marsz. Piłsudski oparł rząd na ludziach mniej lub więcej swoich, jakich miał w różnych partiach politycznych. Przykład pierwszy, przedmajowy, musiał się wydawać komuś zniechęcający do prób tworzenia wielkiej partii, przykład drugi, pomajowy, zachęcający do prób tworzenia nowej sanacji a *rebours*. Różnica zasadnicza polegała na niemożliwości naśladowania Piłsudskiego w jego oparciu się przede wszystkim na swoich ludziach w wojsku¹⁾. Zamiast tego ciężar planu przesunięto na autorytety polityczne.

Wprawdzie nigdy nie udało się pozyskać całkowicie dla planu Witosy, co było niezwykle ważne dla wpływu na Stronnictwo Ludowe, ale zdolano doprowadzić do połączenia Chrześcijańskiej Demokracji z N.P.R. i dla nowego Stronnictwa Pracy pozyskać Hallera, Wojciechowskiego, Kukiela. Nawia-

1) W swoich wspomnieniach o zamachu majowym, wydanych na parę lat przed wojną, których twierdzeń znikąd nie zdementowano, płk. January Grzędziński opisuje łożę wolnomularską wojskową, której był członkiem, p.n. "Honor i Ojczyzna". Na jej czele stał gen. Sikorski, a członkami było m.inn. wielu Piłsudczyków. Ci ostatni utworzyli wewnątrz łożę grupę, od nazwiska przywódcy nazwaną "Koc-grupa" i w r. 1925, jak pisze autor "rozbiliśmy Sikorskiemu łożę", poczem wpływy tego wybitnego wojskowego na korpus oficerski stopniały i nigdy już nie dały mu poważnego oparcia.

zono kontakt z lwowską grupą Związku Ziemi Czerwieńskiej (profesorowie Romer i Grabski) oraz uzyskano pewne pozycje prasowe, z których najważniejszą był niewątpliwie *Kurier Warszawski* i jego czołowy publicysta Stroński. Pewne próby czyniono także w Wielkopolsce. Paryskie stosunki z b.p. Libermanem narazie wyniku nie dały. Za najlepiej poinformowanego w kraju uchodził prof. Kot. Z tym wszystkim *Front Morges* (który dla krótkości nazywać będziemy w dalszym ciągu F.M.) był konstrukcją bardzo słabą. Nie miał rzeczywistego oparcia w żadnym ruchu masowym, ani jasnej koncepcji przyszłości. Zapytywani o program, jego zwolennicy cały nacisk kładli na obalenie sanacji nie bardzo umiając powiedzieć czemu to obalenie ma służyć. Mówili natomiast chętnie o sprawach personalnych przyszłości, a głośnym marzeniem wielu z nich było, że Paderewski będzie prezydentem, Witos premierem a Sikorski wódcem. W rzeczywistości tego rodzaju ruch musiał zmierzać do tego, co z właściwym sobie chłopcym wdziękiem płk. Koc nazwał "demokracją kierowaną." W normalnym rozwoju stosunków, nawet w razie "obalenia sanacji" w Polsce na rządy F.M. miejsca nie było.

Nastąpiła klęska, której napewno nikt z pośród członków F.M. sobie nie życzył, choć niektórzy mogli ją w pewnym zakresie przewidywać. Ona dostarczyła tej jedynej szansy urzeczywistnienia koncepcji F.M. na dobrze znanym jego przywódcom gruncie francuskim. Wierzyli oni, że w krótkim czasie rząd paryski przeniosą do kraju.

W ten sposób F.M. z fazy pierwszej, koncepcyjnej przeszedł w drugą, realizacyjną. Ta druga faza nosiła charakter wybitnie wódzowski. Ze względu zarówno na wojnę, jak na brak wielu z pośród najwybitniejszych przywódców F.M., a wiek sędziwy innych, na czoło wysunął się gen. Sikorski. On brał całą odpowiedzialność i całą inicjatywę.

Z chwilą śmierci śp. gen. Sikorskiego powstała niepowetowana luka w całej konstrukcji, Pozbawiona głównego filaru, delikatna budowa zaczęła trzeszczeć. Udało się ją narazie podstemplować. Łuki w areopagu F.M. były bardzo poważne: Korfanty, Paderewski, Sikorski, Liberman — nie żyli, Witos był więźniem Niemców. Dokonano czegoś w rodzaju obsadzenia opróżnionych foteli. Przeważnie nowe osoby były trochę

za małe na te wielkie stolce, ale ufano, że podrosną i sięgną nogami do ziemi. Pusty od początku fotel Witosa wypełniono Mikołajczykiem, fotel Korfańskiego Sieyda. Fotel, na którego brzeжку siedział Lieberman, podstawiono Kwapińskiemu. Grabski przymierza się do fotela po Padarewskim. Fotel Strońskiego służy do oparcia nóg Kotowi. Wszyscy jednak czują się trochę nieswojo.

Trzeba w pełni zrozumieć różnicę między koalicją złożoną z przedstawicieli wydelegowanych przez różne ugrupowania na podstawie przyjętego kompromisu, a kliką złożoną z ludzi będących jej przedstawicielami na różne ugrupowania. Koalicja, brak jednolitości i konsekwencji odrabia w pewnym sensie szerokim zapleczem organizacyjnym i zsumowaniem sił. Klika mając jej wszystkie słabości, nie ma nic z jej siły, ma połączone wady dyktatury i zbieraniny. Rząd kliki musi być rządem w istocie swej słabym, grającym wobec własnego społeczeństwa,

uległym wobec obcych. Jakie są skutki tego dla państwa, każdy sam rozumie.

Otóż F.M. jest typową kliką. Choćby rząd obecny nadawał sobie pozory rządu koalicyjnego, koalicji bodaj części stronnictw, nie jest nią. Nawet te stronnictwa akceptują, go, bo nie mogą inaczej przy oddzieleniu Kraju od rządu, ale nietylne one mają w nim swoich przedstawicieli, ile F.M. ma w osobach ministrów przedstawicieli swoich na te partie. Jest to stan chorobliwy i wysoce szkodliwy nie tylko dla rozwoju życia politycznego polskiego, ale dla samej polityki polskiej i to w momencie, kiedy jest ona trudniejsza niż była kiedykolwiek a stan sprawy polskiej wciąż w najgroźniejszym kryzysie, kiedy za każdy błąd płaci się dziesięciokrotnie więcej niż w normalnych warunkach.

Nie chodzi o rozsunięcie foteli i dostawienie jakiegos nowego siedziska, ale o zmianę samej zasady zasiadania dokoła stołu.

P.J

Rosja i Polska. Byłaby częściowo słuszną gdyby świat pozostawał w warunkach komunikacyjnych i technicznych osiemnastego wieku. Dziś jest całkowicie niesłuszną. To też tymbar-dziej fantastyczne są wywody Mackiewicza o bezużyteczności sojuszków "egzotycznych" między państwami — nie mającymi wspólnej granicy. Mówić o egzotyczności sojuszu francusko-polskiego w czasach, kiedy podróż z Warszawy do Paryża trwa krócej niż z Wilna do Nieświeża!

Z książki Mackiewicza nie dowie się natomiast publiczność brytyjska najważniejszej rzeczy o Becku: że był on wykładnikiem *anglofilskiego* kierunku polityki polskiej.

Beck w przedstawieniu Mackiewicza robi wrażenie polityka, który wierzył, że może utrzymać równowagę Niemcy-Polska-Rosja własnymi siłami. Beck nie był żadnym geniuszem, ale tak głupi być nie mógł; tak głupi nie był chyba żaden z polityków polskich. Zapewne wszyscy pragnęli w głębi duszy (wszyscy a nie jeden tylko Piłsudski, jakby mogło wynikać z omawianej książki) stworzyć dokoła Polski samodzielną strefę mniejszych narodów i tym się naprzykład tłumacząc próby Skrzyńskiego powiązania Polski z Małą Ententą. Pragnienia te były nie do zrealizowania w istniejącym układzie stosunków, ponieważ Polska była za słaba na bazę takiego bloku. Polska sama była zbyt zagrożona, by inni w niej mieli szukać oparcia. Gdyby po tamtej wojnie Polska dostała Prusy i cały Śląsk Górny jak tego chciał Dmowski, kto wie jakby się ułożyły stosunki polsko-czeskie, a przez to i stosunki Polski z całą Małą Ententą. Ale Polska została odbudowana w pewnym układzie ogólniejszym. Nowe państwa środkowo-europejskie w tym układzie były pomyślane jako "contre-partie" Francji. Do innej roli się nie nadawały.

Różnica w poglądach na politykę zagraniczną w społeczeństwie polskim w latach dwudziestych polegała na tym, że jedni z ówczesnym Związkiem Ludowo-Narodowym na czele, chcieli utrzymać ten system, to znaczy stosować swoją politykę do francuskiej, drudzy szukać byli gotowi sojuszków bardziej "egzotycznych."

Ci drudzy to byli Piłsudscy wraz ze swoimi lewicowymi koneksjami. Marsz. Piłsudski nie miał zwyczaju rozwozić się nad swoimi zamiarami. Tym niemniej wy daje się, że rozwiązaniem zagadnienia bezpieczeństwa Polski widział w oderwaniu od Rosji jej zachodnich części i stworzeniu z nich państw powiązanych z Polską. Byłoby prymitywizmem twierdzić, że chciał to zrobić siłami Polski, Rumunii i Estonii, albo że nie widział śmiertelnego niebezpieczeństwa w robieniu tego w sojuszu z Niemcami. To widział napewno jasniej niż teoretycy jak Studnicki, czy Mackiewicz. Piłsudski chciał iść na Rosję nie z Niemcami, a w każdym razie nie z Niemcami samymi, ale z Anglią.

Trzeba pamiętać, że w latach dwudziestych Europę dzieliło zasadnicze współzawodnictwo francusko-angielskie, że stosunki między tymi dwoma państwami nie były w tym okresie tym, czym były przed Wersalem, czy po Monachium. Nieublaganym wrogiem Niemiec była tylko Francja; Lloyd George bronil interesów niemieckich, Austin Chamberlain szukał między Niemcami a Francją równowagi. Odwrotnie w stosunku do Rosji: Francja długo liczyła się z możliwością upadku bolszewizmu a potem z możliwością oswojenia go. Marzenie o odnowieniu sojuszu z Rosją nigdy nie było jej całkiem obce. To nie Blum, lecz Laval podpisał

BECK MACKIEWICZA PO ANGIELSKU

DZIWNYM zbiegiem okoliczności wiadomość o śmierci Jozefa Becka zbiegła się w czasie z wydaniem angielskiego tłumaczenia książki Stanisława Mackiewicza, która po polsku nosiła enigmatyczny tytuł "O Jednastej Powiada Aktor Sztuka Jest Skończona," a po angielsku nazywa się poprosu "Colonel Beck and His Policy."¹

Wiadomość o śmierci Becka na samych Polakach zrobiła niewielkie wrażenie, chociaż pięć lat temu byłaby największym wydarzeniem dnia. Pięć lat temu jednakże żyliśmy w zupełnie innym świecie. Teraz skłonni jesteśmy zapominać, że obecna nasza sytuacja tkwi korzeniami właśnie w latach 1932-1939, w latach kiedy Beck kierował polityką zagraniczną Polski.

Współczesnym niezmiernie trudno jest rozróżnić, co w polityce jakiegoś narodu jest koniecznością, wynikającą z jego przeszłości historycznej i położenia geograficznego, a co wynikiem swobodnej decyzji ludzi. Dlatego każdy sąd o polityku współczesnym jest niepełny i niepewny.

Książka Mackiewicza pisana była za życia Becka. Nie ma ona charakteru epitafium, ale raczej polemiki z żywym człowiekiem, polemiki rozpoczętej, gdy jeden oderwał się od Wierzbowej a drugi pisał w Wilnie, polemiki tym namiętniejszej, że toczonej pomiędzy ludźmi tego samego obozu politycznego. Mackiewicz w swej polemice stara się być jaknajbardziej sprawiedliwy, wychodzi wszakże prztem z założenia nie tyle polityki, co wiary. Wiara jego, mianowicie polega na tym, że marsz. Piłsudski nie mógł się mylić, że zatem wszystko, co było słuszne w polityce polskiej było jego dziełem, a co było niesłuszne, było winą Becka. Broni zatem koncepcji polityki polskiej powziętych przed rokiem 1935, krytykuje gwałtownie ich wykonanie po tym roku. Wielu Polaków jest skłonnych podzielać takie stanowisko, wątpimy czy przemówi ono do Brytyjczyków. O polskim wydaniu książki Mackiewicza pisała "Myśl" w swoim czasie, obecnie interesuje nas tylko wydanie angielskie i dlatego na wstępie musimy zrobić tę uwagę.

¹ Colonel Beck and His Policy. Stanisław Mackiewicz, London 1944, Eyre and Spottiswoode. Str. 139.

To, że z wielu książek politycznych polskich wydanych w Anglii ta właśnie zainteresowała wydawców angielskich, dowodzi jak ważna była kwestia polityki Polski w latach trzydziestych, a stąd i interesująca postać jej kierownika. Głównym walorem książki dla publiczności brytyjskiej jest to, że autor mówi o polityce Becka nie w oderwaniu, ale w wyniku tego co powiada o polityce europejskiej między dwiema wojnami, sięgając raz poraz do przykładów z dawniejszych wieków.

Zadyszany styl Mackiewicza traci w tłumaczeniu wiele ze swej oryginalności i temperatury, ale zyskuje na jasności. Daje on pojęcie jak wielkim stylistą byłby Mackiewicz, gdyby pisał staranniej. Myślę, że jego sposób pisania, pełen gwałtownych skrętów i kanciastej ekspresji, może mieć dla czytelnika angielskiego urok wartościowego egzotyzmu.

Co Anglik dowie się z książki p. Mackiewicza?

Pewne pojęcie o tym daje notatka zamieszczona na okładce książki przez wydawców, niewątpliwie bez aprobaty autora. M.in. czytamy tam: "Niepodległość Polski zawsze zależeć będzie od dobrej woli jej dwóch wielkich sąsiadów. Nie wolno jej nigdy klócić się równocześnie z Rosją i Niemcami, choć często w przeszłości korzystała ze sporów między nimi. Beck nie potrafił zrozumieć niezmiennego faktu geopolityki co, wraz z jego zupełną niezdolnością dyplomatyczną, zdaniem autora wciągnęło jego kraj do katastrofy r. 1939".

Mackiewicz wychodzi ze starej tezy Studnickiego, rozwijanej przed wojną z dużym talentem przez A. Bocheńskiego w jego "Niemcy, Rosja i Polska", że Polska musi się związać sojuszem z jednym ze swoich sąsiadów przeciwko drugiemu. Studnicki i Bocheński wysuwali stąd wniosek, że powinna się być związać z Niemcami przeciwko Rosji (Studnicki jest w niemieckim więzieniu, Bocheński zdobył szereg brytyjskich i polskich odznaczeń wojskowych, był w Narwiku, Tobruku, Monte Cassino). Mackiewicz nie wysuwa takiego wniosku. Czytelnik angielski wysunie go za niego w tej postaci, że Polska musi podporządkować się Rosji.

Teza Studnickiego byłaby całkiem słuszną, gdyby na świecie istniały tylko Niemcy,

ostatecznie odnowienie tego sojuszu. Kto bazował swoją politykę na sojuszu z Francją, musiał dążyć do dobrych stosunków z Rosją. Kto widział przyszłość Polski w rozbiciu Rosji, musiał dążyć do poprawy stosunków z Niemcami, rozluźnienia sojuszu z Francją i zastąpienia go sojuszem z Anglią. Piłsudski chciał dostosować politykę polską nie do francuskiej ani niemieckiej, ale do angielskiej. Beck, wygłaszając swoją mowę o honorze, nie był aktorem pokrywającym kłeskę swej polityki pięknym i popularnym gestem, był politykiem przeświadczonym, że wykonał zadanie powierzone mu przez zmarłego wodza i że dokonał wielkiego dzieła. Warto wspomnieć oświadczenie Becka po zawarciu sojuszu z Brytanią z powołaniem się na zdanie Piłsudskiego o "dobrym towarzystwie." Już będąc na internowaniu w Rumunii Beck miał przyznać się jednemu z dyplomatów polskich, że patrząc na swoją działalność jako ministra spraw zagranicznych, nie ma sobie nic do wyrzucenia w stosunku do swej polityki zachodniej i całej gry z Niemcami, czuje natomiast, że błędnie ocenił Rosję.

Błąd nie był tylko Becka. Był to błąd i Piłsudskiego i Hitlera. Sądzieli oni, że Rosja jest "chorym człowiekiem" dwudziestego wieku, że sprawy narodowościowe będą ją rozsądzały i że Anglia pomoże temu, kto zabierze się do operowania "chorego."

Z tym wszystkim kto wie czy polityk² trzymania się Francji, mimo jej słabości nie byłaby dla Polski lepsza, gdyby konsekwentnie była przeprowadzana. Wzrost potęgi niemieckiej musiał doprowadzić do odnowienia sojuszu francusko — angielskiego. Rosja oczywiście nie rzekłaby się polityki zmierzającej do rewolucji światowej, ale nie widziałaby w Polsce potencjalnego niebezpieczeństwa jakiejś europejskiej bazy antysowieckiej, co by miało wpłynąć na jej politykę w stosunku do nas. Łatwiej by też było na tej płaszczyźnie zważyć państwa okoliczne. Pozostaje jednak otwarte zasadnicze pytanie, czy można było w tym układzie uniknąć rzucenia nas przez Francję i Anglię na pastwę rewizjonizmowi niemieckiemu. Ktoby udowodnił, że nie można było, mógłby stawiać Beckowi już tylko zarzuty błędów w wykonaniu, nie w planie samym.

Te błędy w wykonaniu są bardzo wyraźne. Pierwszy z nich, psychologiczny, zlekka wspomina Mackiewicz, ale warto go nieco rozszerzyć. Beck, był typowym przedstawicielem pokolenia legionowego, ludzi wyrwanych ze szkół przez wojnę i nigdy nie dorosłych, Piłsudzycy tego pokolenia mieli w sobie do końca coś ze zdemoralizowanych wyrostków z dobrego domu. Ponad wszystko lubili kant i każdy kant był dla nich dobry. "if he threw — brzmiał u Mackiewicza — a monkey-wrench into international machinery it was out of childish malevolence or adolescent mess-room pranks." Zwykłą uczciwość uważa ten typ ludzi za brak dorosłości. Francuzi twierdzili, niestety zdaje się nie bez racji, że Beck jako attaché wojskowy w Paryżu odpowiedzialny był za wykradzenie im planów wojskowych dla przehandlowania z Włochami. Do końca swej działalności Beck nie znosił Francji.

Tu przechodzimy do drugiego błędu, którego Mackiewicz nie zauważa, bo dzieli go z przedmiotem swego studium. Beck, pozornie zimny i cyniczny polityk, ulegał dwóm pasjom politycznym: niechęci do Francji i nienawiści do Rosji. To samo robi Mackiewicz. Jest w tym, przypuszczać wolno, coś z kompleksu lat dojrzewania politycznego,

kiedy formują się poglądy człowieka. W owych latach, Rosja była głównym ciemiężycielem, a Francją jej sojusznikiem. Poza tym głównym wrogiem wewnętrznym była "endecja," a endecja kochała Francję. Takie pasje psują politykę.

Trzeci błąd był natury wewnętrzno-politycznej. Nie może mieć dobrej polityki zagranicznej państwo źle rządzone. Rząd przedwrześniowy nie budził zaufania ani u państw totalistycznych, jako że nie opierał się na żadnym dużym ruchu i nie cdznaczał jednolitością myśli i akcji, ani u państw demokratycznych, które widząc emigrantów politycznych i słysząc o ciągłym wrzeniu w kraju, podejrzewały w dodatku rząd o głębszą solidarność z innymi dyktatorami. Nawewnątrz nie było koordynacji między polityką zagraniczną a wojskową i gospodarczą. W lonie sanacji trzy partie, żeby nie powiedzieć trzy konspiracje: Becka, Rydza i Kwiatkowskiego rządziły każda jednym działem polityki. Za ten stan rzeczy Beck już nie jako minister spraw zagranicznych, ale jako polityk w ogóle, był odpowiedzialny.

Cambon powiedział niegdyś (a był to jeden z lepszych dyplomatów w historii), że najważniejszą część pracy zarówno administratora jak dyplomaty odbywa się nie na jego placówce, ale w rządzie, gdzie musi wywalczyć dla swego odcinka odpowiednie miejsce. Beck tego miejsca polityce zagranicznej w Polsce wywalczyć nie umiał.

Z tym wszystkim na bezrybiu w okresie *Wielkiego Rozejmu* był on jedną z najwybitniejszych postaci na arenie międzynarodowej, wybitniejszą niż Ciano, Ribbentrop, Halifax czy Daladier, a nie gorszą od Benesa czy Edena.

Z książki Mackiewicza nieznaną Polską Anglik nabierze o niej fałszywego wyobrażenia, a raczej utrwali fałszywe wyobrażenie, jakie mu nieczytliwi Polscy zasugerowali. Na papierze redakcyjnym "Słowa," które wydawał p. Mackiewicz widniał charakterze winiety żubr. Było to dumne wyzwanie "Jesteśmy organem żubrów litewskich, może nie?" Przypuszczam, że kiedy Mackiewicz słyszy zarzut: "Polska była krajem rządzonym przez landlordów," to odpowiada: "Niestety, nie". Anglik z tej książki wyniesie wrażenie, że w Polsce liczyli się tylko wicły właściciele ziemscy, dowie się nawet o nich sporo anegdot.

Dowie się także o tym, że chłopci w 1863-m wydawali Moskalom powstańców, że Mikołaj ocalił szlachtę polską przed rozszerzeniem Rabacji na cały kraj, za co zyskał służbę w Wielopolek, że zdaniem jedynego z namiestników Galicji polonizują się w niej nie tylko niemieccy urzędnicy i osadnicy, ale "nawet chłopci staną się Polakami", że Bismarck uważał, iż wystarczy zniszczyć szlachtę aby zniszczyć polskość, nie dowie się natomiast tego, że to nawet wtedy było pobocznym życzeniem naszych wróg, a nie powszechną prawdą, ani tego jak zupełnej zmianie uległy stosunki społeczne w Polsce w ostatnich stu latach. Te sprawy nie interesują autora. Jest on tak urzeczony przeszłością i tak przekonany, że przyszłość nie może jej dorównać, że nabrał psychologii człowieka osiemnastego wieku i czuje się członkiem "narodu szlacheckiego" Wielkiego Księstwa.

Każdy historyczny naród ma takich oryginałów i nieraz nawet chlubi się nimi w literaturze. Żle tylko, że czytelnik brytyjski, tak paskudnie przygotowany do spraw polskich, może wzięść poglądy Mackiewicza za typowe dla społeczeństwa polskiego, a jego oświecenie za obiektywne.

Zarzuty nasze pod adresem tej książki nie płyną z przeświadczenia, że jest to książka dla sprawy polskiej szkodliwa, ale z żalu, że nie została przed tłumaczeniem przystosowana do użytku zagranicznego. I teraz myślący cudzoziemiec dużo się z niej nauczy, bo zobaczy sprawę polską w zupełnie nowym świetle, niezmiernie różnym od banałów demo-humanitarnych przyprowadzonych sosem kompleksu niższości, jakie mu dotąd najczęściej prezentowano. Zobaczy także, jak w oczach cudzoziemskiego autora wygląda polityka jego własnego kraju. Jeśli zgorszy go trochę (ale chyba nie zanadto) pchwała polityki Chamberlaina w okresie Monachium, to z przyjemnością przyjmie zwalenie winy za wszystko złe, co się stało między wojnami, na politykę francuską. Byleby tylko widział, że ma do czynienia z wybitną ale samotną indywidualnością polskiej publicystyki.

A książka może być poczytna. Ma nietylko ciekawy i w nowy dla Anglika sposób ujęty temat. Przemawia anegdota, nazywa rzeczy po imieniu, w miarę upraszcza, opowiada faktami, nie oderwanymi pojęciami.

P. JANECKI.

CZY HISTORIA SIĘ POWTARZA?

Mam przed sobą ciekawą książkę angielską sprzed lat stu trzynastu. Jest to rodzaj retrospektywnego almanachu za rok 1831, ilustrującego europejskie wypadki w tym roku brzemienym w rewolucję. Istotnie przymiotnik podobny figuruje nawet w tytule: "The History of Europe during the eventful year 1830." Były to przecież lata i miesiące, w których młoda *Revue des Deux-Mondes* miał późniejsze rubryki: *Revue de la Quinzaine*, czy *Revue Politique* — uznana była za bardziej aktualną nazwę: *Revue des Révolutions*, pod którą co dwa tygodnie podawała przegląd różnych europejskich wydarzeń rewolucyjnych.

Tak i tu. Wśród rozdziałów poświęconych rewolucjom we Francji, Belgii, a też i ruchom w Niemczech, Szwajcarii, Hiszpanii,

Portugali i Grecji, znajdujemy również i rozdział o naszym listopadowym powstaniu.

Zainteresuje nas tu dziś nietyle obraz wypadków powstańczych, witynych z serdecznym podziwem i współczuciem, ile krótki rys historyczny polskiego tła politycznego, którym autor swój wykład poprzedził. Zwłaszcza wymownym jest dla nas paragraf poświęcony polityce brytyjskiej na Kongresie Wiedeńskim, z którego to kongresu wszystko późniejsze wypłynęło, stwardza współczesny autor, łącznie z naszą Insurcją listopadową.

1) Na pierwszej karcie tytułowej, zdobnej w winiętę przedstawiającej jakiś rozruch uliczny, widnieje nazwa ogólniejsza wydawnictwa: *The Larder's Cabinet Library, Annual Retrospect of Public Affairs for 1830.* 2) tcmj.

Zagadnienie polskie potraktowane jest jako wybitnie europejskie, interesujące więc też i W. Brytanię. Czyż trzeba się dziwić, że odnajdujemy tu tyle "ech" tego co—przyjść miało za lat sto trzysta, w roku pańskim tysiąc dziewięćset czterdziestym i czwartym?

Na samym początku rozdziału (II., 7) poświęconego Polsce, autor zasadniczo i mocno podkreśla, że Polakom nie idzie o pewne jakieś doskonalsze swobody i wolności, jak Francuzom czy innym. Polacy walczą wogóle o swą Wolność i Byt państwowo-narodowy i "o prawo posiadania własnej armii, własnego skarbu, własnych instytucji, o to by obywatele polscy nie byli wywlekani do obcych więzień," (nie znano jeszcze wtedy obozów pracy, choć już znano osiedlenia i katorgi).

Po krótkiej historii podziałów, surowo bardzo osądzonych, Insurekcji Kościuszkowskiej i Księstwa Warszawskiego, po miłych słowach pod adresem Polaków walczących w legionach napoleońskich Dąbrowskiego przechodzi wreszcie autor angielski, Anglik współczesny Campbellowi, o którym piszemy na innym miejscu, do Kongresu Wiedeńskiego, w którym interesować go będzie oczywiście polityka Castlereagh'a.

"Wielkie mocarstwa kongresowe — no tujemy już wtedy to pojęcie *wielkich* więc i małych mocarstw — zanim przystąpiły do przyznawania poszczególnych terytoriów, wyznaczyły były komisję statystyczną dla sporządzenia inwentarza wszystkich zdobyczy poczynionych na Napoleonie, a więc i wszystkich łupów, którymi się miały podzielić, albo które miały być zwrócone poprzednim posiadaczom. Nie przychodziło im do głowy, że należało poradzić się przytem obyczajów, uczuć, a też szczęścia narodów, a to na to, aby im przywrócić wolność i niepodległy zarząd ich własnymi sprawami.

Brytyjski plenipotent, Lord Castlereagh, przy tej okazji przynajmniej, okazał się wiernym przedstawicielem brytyjskich uczuć. Znał wstręt z jakim różne podziały Polski spotkały się w tym kraju (in this country, w Anglii więc); znał wagę, jaką angielscy statyscy przywiązywali do pierwszego tego wielkiego złamania prawa międzynarodowego; znał gorące życzenia wyrażone w parlamencie, w społeczeństwie, poprzez prasę, by niepodległość Polski została przywrócona. . . Archiwa kongresowe zawierają dowody na doskonale jego rozumienie tego zagadnienia, oraz na jego gorące pragnienie doprowadzenia do tego wielkiego aktu sprawiedliwości politycznej: "Było życzeniem Anglii, mówił lord Castlereagh, by widzieć *some independent power* w Polsce, jako przegrodę między trzema cesarstwami Europy, *as a separation between the three great empires of Europe.*"

Znamienne jest, że popierał go w tym bardzo silnie — Talleyrand. W dniu 19 grudnia 1814 pisał on do Metternicha, że "z wszystkich kwestyj, mających być przedmiotem Kongresu, uważał sprawę Polski za bez żadnego porównania najważniejszą dla interesów Europy. . . Rozbiory jakie zniszczyły istnienie Polski były przegrzywką, w pewnym mierze przyczyną, a może nawet usprawiedliwieniem dla późniejszych wstrząsów, na które Europe została narażona"¹⁾

¹⁾ Ten bardzo ważny ustęp podaję w tekście angielskim, jaki mam przed sobą: "The partition . . . was the prelude, in some measure the cause, perhaps even to a certain extent the apology, for the subsequent commotions to which Europe has been exposed."

Za głównego sprawcę nieudania się tych planów uważa nasz Anglik z roku 1831 — Rosję. "Nieszczęściem, wojska cara w tym czasie okupowały terytorium, o które szło, a jego potęga zbyt jasno okazała się w czasie wojny co dopiero ukończonej, by ktokolwiek myślał o rozpoczęciu na nowo operacji wojennych choćby w obronie najuczciwszej sprawy" . . .²⁾

Była gorsza rzecz, powiada Anglik szukający oczywiście usprawiedliwienia dla słabości, czy przegranej lorda Castlereagh: *oto zawiedli sami niektórzy Polacy*. Dali się niektórzy z nich skusić na obietnice konstytucyjne cara Aleksandra, należał do nich i *the illustrious Kościuszko himself*. W ten sposób konkluduje

²⁾ I znów tekst oryginału: "Unhappily the troops of his imperial majesty at that time occupied the territory in dispute, and his power has been to well proved in the war which had just terminated, to render it advisable to recommence hostilities to drive them out, even for the most righteous of all objects".

nasz Anglik: "Dzięki wielkiej swej zgrabności i *finesse*, których car Aleksander ma tak wielki zasób, zdołał on nie tylko unicestwić życzenia Anglii i Francji ale w dodatku zyskać nawet u samych Polaków rzeczników ich własnej niewoli. . ." (the emperor not only contrived to defeat the expressed wishes of England and France, but to make the Poles themselves accomplices in their own continued subjugation.)

Tyle nasz tekst zprzed stu trzynastu lat. Lektura ta, przynajmniej, przyczynia nam dreszczów i ciarek na myśl o tym, że zbliża się kongres inny.

Będziemy na nim mieli niewątpliwie dobre życzenia i nawet dobre usługi i Anglii i Ameryki, będziemy jednak mieli do czynienia i z *finesse* po-carskiego reżimu. Będziemy niestety — napewno — mieli na rachunku i — *mutatis mutandis* — śródieczną łatwowierność Polaków pewnego autoramentu.

Nie widać tylko dotąd kandydata na kongresowego Talleyranda.

M61

WE CANNOT AID YOU

(W stulecie śmierci Tomasza Campbella)

"Poles! with what indignation I endure
Th' half-pitying servile mouths that call you poor;
Poor! is it England mocks you with her grief,
That hates, but dares not chide th' Imperial Thief?
France with her soul beneath a Bourbon's thrall,
And Germany that has no soul at all—
States, quailing at the giant overgrown,
Whom dauntless Poland grapples with alone?
No, ye are rich in fame e'en whilst ye bleed;
We cannot aid you—we are poor indeed."

(Lines on Poland)

Wiersz ten brzmi przerażająco współcześnie, choć został ogłoszony przeszło sto lat temu. Napisał go Szkot Tomasz Campbell, największy nasz przyjaciel i obrońca w literaturze brytyjskiej.

I kiedy w czasach dla nas niezwykle trudnych, w osamotnieniu, słyszymy znów głosy bezinteresownej przyjaźni, przychodzą one najszybciej z chłodnej i deszczowej północy, z Edynburga, Glasgowa i Aberdeen, ze "Scotsman'a" i broszur, typu Mackee'a "Poland, Russia nad our honour".

W lordzie Byronie, w lordzie Gordonie Byronie płynęła także krew szkocka, która zwróciła się w "Don Juanie" dyktując sławne zwrotki o Polsce (X-58-9).

Jest między Szkocją i Polską pokrewieństwo natchnienia, temperamentu, pieśni i tańca, pokrewieństwo wolności, niekropowanej koniunkturą polityczną, niewyprzedawanej wstydlivie, jeśli jej cena na giełdzie światowej spada. Gdyby Lord Byron żył w epoce Oranienburga i Katynia, gdyby dziś przelożył na język poetyckiego uczucia stary patos nowego "świętego przymierza", smagałby dulszczyzną zachodnioeuropejską ośmiorzemiennym bątem oktawy, oddałby majątek na sprawę tak niepopularną i umarł gdzieś

pod błotnistym nieznanym polskim Misso-longhi.

Jeszcze w roku 1922, kiedy byliśmy systematycznie wyszydzani i oskarżani, kraj Byrona i Campbella umiał odezwać się głosem natchnionej liryki i w wierszu Chestertona "Poland" tłumaczył tragedię białego orla, zbrukanego przez chwie ręce kupczących. Do Matki Boskiej Częstochowskiej udawał się wtedy z poetycką pielgrzymką inny wielki pisarz-katolik, H. Belloc.

Literaturze współczesnej brak Byronów, Campbellów i Chestertonów. Dogorywają w niej jeszcze dziewiętnastowieczne fantazje Wellsa, które czas przemienił w makabryczną groteskę. Prorok drobnoświeckiego wygody patrzy na rumowisko swoich wizyj jak na stos nieciekawych zabawek, którymi nawet dzieci wzgardziły.

Nie Wellsów dziś potrzeba Europie, ale Swiftów! Nie optymizmu Pope'a, ale oczyszczającej melancholii Johnsona.

W roku 1799, na progu nowego stulecia, stulecia postępu i tyranii, fanatyzmu i zakamania, chemii wynalazków i alchemii liryki, pisał niespełna dwudziestodwuletni Tomasz Campbell:

"In vain, alas! in vain, ye gallant few!
 From rank to rank your volleyed thunder flew—
 Oh, bloodiest picture in the book of Time,
 Sarmatia fell, unwept, without a crime;
 Found not a generous friend, a pitying foe,
 Strength in her arms, nor mercy in her woe!
 Dropped from her nerveless grasp the shattered
 spear,
 Closed her bright eye, and curbed her high
 career—
 Hope, for a season, bade the world farewell,
 And Freedom shrieked—as Kosciuszko fell!"
 (*The Pleasures of Hope*)¹

Utwór ten, zmienny w tonach i tematach zdecydował o pozycji literackiej młodego Szkota (ur. w Glasgowie 27 lipca 1777), stając się z jednym najpoczytniejszych poematów epoki. Był to niejako dziennikarski sukces. Autor bowiem utrafił w nastroje czytającej publiczności, dając im w czasach, kiedy zniesienie niewolnictwa i rozbiory Polski należały do tematów dnia, zgrabną mieszaninę motywów o przekonujących, szczerym patoic w klasycznej formie angielskiego dziesięciogłoskowca. Poemat tkwi korzeniami w XVIII wieku, Campbell daleki jest od nowatorstwa, choć zręczny werbalizm przypomina tu czasem Byrona. Przelomowa książka poetycka tego okresu

1) "Dziennik Polski" (17.VI.44), który nie potrafi zamieścić najkrótszej notatki bez jakiegoś nonsensu, informuje czytelnika o "powszechnie znanym" utworze Campbella poświęconym Kościuszcze. Takiego poematu nie ma. Znany dwuwiersz o Kościuszcze znajduje się w cytowanym poemacie "The Pleasures of Hope," który jest właściwie kompozycją luźnych fragmentów poetyckich, pisanych w różnych okolicznościach z motywem głównym Nadziei, łączącym fragmenty w przetrzystą całość.

"Lyrical Ballads" Coleridge'a i Wordswortha przeszła prawie niezauważona na rynku księgarskim, podczas gdy nieczytane dziś wcale "The Pleasures of Hope" ukazywały się wciąż w nowych wydaniach. Autor otrzymał w wyjątkowo młodym wieku pensję królewską — także niebezpieczna oznaka dla przyszłych historyków literatury. W tej niesłuchanej popularności Campbella za życia tkwi przyczyna jego niepopularności w czasach dzisiejszych. Istnieje bowiem jakby niepisana reguła w literaturze: popularność za życia okupuje się niepopularnością w wieczności. Byron był uznawany za swoje najgorsze utwory ("Childe Harold," "Manfred" i "Korsarz") dzisiejsza jego sława wyrasta z fragmentów lirycznych "Don Juana" dotychczas "przekartkowany" i z burlesek typu "Beppo." Campbell był poetą po dziennikarsku jednoznacznym, niesposób jego utwory przewrócić podszewką do góry: stąd więc nieunikniona krótkotrwałość sławy autora "Theodrica."

Zycie wielkiego przyjaciela Polski nie obfitowało w bujne przeżycia. Campbell należał do tych sympatycznych Szkotów, którzy znakomicie czują się w Londynie z tą wszakże godną zastanowienia różnicą, że piewca nieszczęść Polski nie wyżywał się prawie wcale we wspomnieniach dziecięcych, żaden chyba Szkot piszący nie odznaczył się tak dyskretnym milczeniem wobec swojej ojczyzny. Campbell pisał o Anglii i dla Anglików. We wszystkich znanych antologiach poezji znajdują się jego bojowe wiersze związane z Anglią, jak do dziś dnia deklamowane "Ye mariners of England" i "The Battle of the Baltic." Naród wygrywający prawie wszystkie wojny nie lubi o nich pisać. Campbell starał się tę lukę w poezji wypełnić. Trudno jednak powiedzieć, żeby spotkał się z wdzięcznością. Poza pobytem w Niemczech gdzie Campbell zetknął się ze Schle-

glami, jakimśtam wypadem do Francji, autor "Hohenlinden" pracował w Londynie, redagował "New Monthly" i "Metropolitan Magazine" miał wielu przyjaciół, potrafił wywierać wpływ jeśli zechciał, jak na przykład w sprawie założenia uniwersytetu londyńskiego — ale poza tą pracą zawodową, troskami materialnymi i domowymi trudno doszukać się w życiorysie poety choćby cienia tajemnicy, zagadki czy skandalu.

Jedyną pasją Campbella była sprawa polska. Zawsze był jej wierny, nigdy jej nie zaniedbał. Założył Stowarzyszenie Przyjaciół Polski, pisał o sytuacji politycznej narodu Kościuszki, nie żałował czasu, wysiłku ni pieniądzy. Dlatego rocznica stuletnia tego prawego obywatela-poety musi być przede wszystkim rocznicą polską. Czytelnicy agnielscy mają prawo wykazywać błędy "przyziemnej" liryki Campbella, mają prawo cytować jego osławione lapsusy jak choćby te o tygrysach nad brzegami jeziora Erie, panterach w Nowej Południowej Walji i hienach w Południowej Ameryce — czytelnik polski zapomni je chętnie, tak jak zapomni "Theodrica" i "Gertrude of Wyoming," ale pamiętać powinien serdeczne fragmenty z "Pleasures of Hope," "Lines on Poland" i "The Power of Russia." W tych utworach Campbell poeta jest naprawdę sobą:

"O, heartless men of Europe Goth and Gaul!
 Cold, adder-deaf to Poland's dying shriek—
 That saw the world's last land of heroes fall—
 The brand of burhing shame is on you all
 —all—all!

(*The Power of Russia*)

Umarł obrońca Polski 15 czerwca 1844. Spoczywa pośród wielkich w Westminsterze. W chwili pogrzebu warta złożona z przedstawicieli polskiej emigracji stanęła przy trumnie poety. Rzucono na nią ręką polską grudek ziemi z grobu Kościuszki. Tak się żegna wiernych przyjaciół. J.P.

CZEGO SIĘ WARTO UCZYĆ OD ANGLIKÓW

RÓŻNE już sądy wydawaliśmy o narodzie angielskim i różnym zmianom podlegały one w ciągu naszego czteroletniego pobytu na tej wyspie. Na dobrą sprawę każdy z nas mógł tu znaleźć co chciał, mógł powołać się na fakty i ludzi, potwierdzających każdą niemal tezę. Konserwatysta znajdował tu konserwatyzm, socjalista i reformator społeczny *Labour Party* i wiele pomysłów reformatorskich. Wielki przemysł, technika i — średniowieczne stroje, obrzymie bogactwo — i *slumsy*, idealizm — i materializm, walka o wolność narodów — i imperjalizm, Byron — i Józef Chamberlain.

Ta szalona różnorodność oszałamia człowieka przybyłego z Kontynentu: nie może on przez długi czas odnaleźć wewnętrznego związku w tym wszystkim. Synteza wydaje się nader trudna, a jednocześnie czuje się wyraźnie, że mimo całej różnorodności to wszystko jakoś trzyma się kupy, nosi jakieś jednolite, swoiste, charakterystyczne dla angielskiego narodu zabarwienie. Konieczność dokonania syntezy nasuwa się sama przez się — ale przy dokonaniu tej syntezy bardzo często okazuje się, że się rzecz ujęło jednostronnie, że się pewne dziedziny angielskiej rzeczywistości pominęło. Wydaje mi się nawet, że przyjazd do tego kraju nie

ułatwił, a utrudnił nam syntezę, że w wielu wypadkach przedtem, nim Anglię poznaliśmy tak blisko, mieliśmy o niej sąd trafniejszy jako o pewnej całości. Jest to zrozumiałe: aby dokonać syntezy, trzeba być w pewnym dystansie od przedmiotu — gdyśmy się znaleźli w Anglii, uderzyła nas przede wszystkim ogromna różnorodność życia, pochłonęły nas szczegóły, a zatarty się w naszym obrazie linie ogólne i zasadnicze. Jeśli w pierwszych latach naszego współżycia z Anglikami poprostu zachlustywaliśmy się z zachwytem wobec wszystkiego co angielskie, to pod wpływem ostatnich rozczarowań zaczęliśmy patrzeć już zbyt czarno na naszych gospodarzy.

Obecny charakter narodu angielskiego nie istnieje odwiecznie. Wytworzył się on w pewnych ściśle określonych warunkach i jest tych warunków produktem. Moment, w którym zaczęła się tworzyć Anglia dzisiejsza, bynajmniej nie gubi się w pomroce wieków: stało się to w ciągu XVIII wieku, powieźmy dokładniej, przemiany są już widoczne od początków XVIII w. Anglia średniowieczna, Anglia Tudorów i Stuartów — to kraj bardzo różny charakterem od dzisiejszego, to kraj bliski charakterem innym narodom kontynentu europejskiego, nie wyróżniający się z pośród

nich jakimiś specjalnymi, "niekontynentalnymi" cechami. Jest to w tej epoce kraj despotyzmu całkiem "kontynentalnego" (Henryk VIII), krwawych walk religijnych i jeszcze krwawszych rewolucji religijno — społecznych.

Co wpłynęło na to, że potem Anglia nabrała cech tak szczególnych, tak różniących ją od wszystkich innych krajów Europy? Zespół przyczyn leżących u źródeł tych zadziwiających przemian da się zamknąć w jednym krótkim zdaniu: *Anglia zdobyła hegemonię na morzach*. To wszystko: tylko tyle, a tak dużo. Przedtem Anglia miała problemy podobne do problemów wszystkich innych krajów kontynentu: bronila się przed najazdami to Normanów, to Szkotów, sama najeżdżała Francję, walczyła ciężko z Hiszpanią, Holandią, Francją o panowanie na morzach świata. I wtedy Anglia była inna niż dziś. Trudno w uroczystych, pełnych fanatyzmu purytanach Kromwella dopatrzyć się dzisiejszego humoru i swobody angielskiej: to był raczej pewnie totalizm z jego surowością, twardością, nieustępliwością i nienawiścią. Nie śniło się tym ludziom wtedy o kompromisowości angielskiej i angielskiej "easy goingness."

Poczynając od XVIII w. to się zmieniło;

elementy "nieprzejednane," "intransigent" nie musiały burzyć się wewnątrz kraju, wprowadzając weni nienawiść i walkę; poprostu jeśli były niezadowolone — emigrowały. To właśnie przeciw ci fanatyczni, nieprzejednani purytanie dali początek Stanom Zjednoczonym. A więc nastąpiła jedna zmiana: otwarto się szerokie tereny dla emigracji, gdzie mogli wyjeżdżać wszyscy ci, którzy nie mieścili się w istniejącym porządku społecznym. Inna zmiana jest bez porównania ważniejsza: Anglia zyskała poczucie bezpieczeństwa. Anglia przestała się obawiać nie tylko już najazdu, ale i silniejszej od niej samej konkurencji na morzach i w koloniach. Ta zmiana miała znaczenie zasadnicze dla przemian charakteru angielskiego.

Anglicy są dziś inni niż narody kontynentalne, nie ulega to wątpliwości. Tłumaczy się to mistyką morza, mistyką rasy etc. Sądzę, że przyczyna tej inności jest znacząca. Anglicy mieszkają na wyspie i posiadają flotę mocniejszą od flot innych państw. *That's all.* To im daje poczucie bezpieczeństwa, jakiego nie posiada żaden inny kraj kontynentu europejskiego i to wyrabia cechy charakteru niemożliwe do wytworzenia w żadnym innym kraju, który nie znajduje się w tych samych warunkach. Poczucie bezpieczeństwa ma wpływ wprost magiczny na charakter człowieka. Człowiek, który przez całe swoje życie czuje się bezpieczny, wyrasta zrównoważony, pogodny, uprzejmy, pozbawiony jakichkolwiek kompleksów czy urazów psychicznych. Tu jest źródło owego słynnego angielskiego humoru, umiejętności kompromisu, zdolności do tolerowania najrozmaitszych opinii i indywidualnych wysoków. Nie są to rzeczy niebezpieczne — nie podważa fundamentów ich życia i ich bezpieczeństwa, a więc mają znaczenie podobne jak barwny film: przyczyniają się do bogactwa wrażeń, ale bezpośrednio nie biją widza. Taki jest charakter tolerancji angielskiej.

Te cechy uderzały nas i zachwycaly w pierwszych latach naszego pobytu w tym kraju. Teraz postawa zyciowa, z której te cechy wynikły, zwróciła się przeciw nam. Dlaczego? Tamte są przeciwieństwo cech sympatycznych i piękne, a to co nas dziś spotyka, jest nie tylko nieprzyjemne, ale i nasuwające pewne wątpliwości z punktu widzenia moralnego. No tak, ale źródło tych tak różnych reakcji leży w jednej postawie. To nie Anglicy się zmienili, to myśmy ich poprzecdnio źle rozumieli.

Zycie angielskiego narodu jako całości jest szczęśliwe i bezpieczne: przeciętny Anglik żył normalnie, pracował, bawił się, a bogactwa i terytoria rosły niemal automatycznie dzięki wysiłkowi awanturniczych jednostek, opartemu na panowaniu Anglii na morzu. Dlatego Anglia nie wytworzyła w sobie jakiegokolwiek kompleksu misji narodowej: wszelkie idee ogarniające świat przepływały tylko jakby po powierzchni świadomości tego ludu, nie wzbudzając go do głębi. W głębi tej i w masie było to bezpieczne, szczęśliwe, barwne życie. Tu jest istotne źródło obecnego charakteru angielskiego, tu spoczywają jego głębokie, istotnie ważne pokłady, które ostatecznie decydują o jego stosunku do zagadnień. Przeciętny Anglik pragnie żyć możliwie szczęśliwie i bez niezbędnej potrzeby nie chce być z tego szczęśliwego stanu wytrącony. Dlatego nie przejmują się za bardzo wielkimi ideami, nie przejmują się za bardzo tym, że ktoś wygłosił poglądy przeciwnie, jek nie wytrąca go zbyt z równowagi, że ktoś tam gdzieś cierpi, a nawet że gdzieś dzieją się rzeczy potworne. Tęgo nawet wprost nie chce dopuszczać do świadomości, gdyż myśl

o tym naruszałyby jego stan szczęścia i spokoju. Anglik chce żyć szczęśliwie w swoim własnym izolowanym świecie tak długo, jak może; nie ma wcale chęci naprawiania całego świata, narażania swojej wygody dla dalekich narodów, gdyż nie ma poczucia misji; chce sam żyć szczęśliwie — to wszystko. Jest to lenistwo i myśli i wyobraźni oraz egoizm, charakterystyczne dla ludzi szczęśliwych.

Na pierwszy rzut oka nie dostrzeżemy tego tak łatwo. Anglik jest przecież tak uprzejmy, sympatyczny, a przy tym umie entuzjasmować się różnymi ideami. Te cechy mogą zwiścić niedoświadczonemu obserwatora. Istotna postawa Anglika wychodzi na jaw dopiero, gdy dla tych różnych idei trzeba ponieść ofiary. Wtedy nagle okazuje się, że nie ma on na to ochoty: tamto wiązanie się z ideami — to była tylko fasada; obejmowało to tylko powierzchnowe pokłady duszy, przyczyniało się bowiem do pewnego bogactwa i barwy życia. Jest to swojego rodzaju sybarytyzm duchowy, będący produktem poczucia bezpieczeństwa. Anglicy nazywają to zdrowym rozsądkiem i realizmem. Mają rację: jest to zdrowy rozsądek, wynikły z niechęci do dokonywania niepotrzebnych wysiłków. Gdy naród angielski stanie przed koniecznością wyboru dwóch dróg, to z góry można się domyślić, jaką drogę wybierze i jakie kryterium będzie wpływało na wybór. Zgodnie z całą postawą Anglika ostateczny głos będzie tu miało kryterium *ekonomii wysiłku*. Wybierze on drogę, na której spodziewa się mniejszego wysiłku — przy jednoczesnej możliwości zachowania swego dotychczasowego trybu życia. Względem ideowe nie będą grały rozstrzygającej roli przy pobieraniu tej decyzji.

Podziwiamy tolerancję angielską wobec różnych wysoków indywidualnych wewnątrz tego kraju, a oburzamy się gdy Anglicy nie reagują dostatecznie żywo na okrucieństwa niemieckie. Tymczasem oba te zjawiska wynikają już nie tylko z tej samej postawy duchowej, ale są wprost tą samą reakcją w dostosowaniu do różnych dziedzin życia. W obu wypadkach jest to ta sama angielska tolerancja, czyli niechęć do interwencji wszędzie tam, gdzie Anglik nie czuje się bezpośrednio zagrożony. Anglicy nie reagują na światoburcze wystąpienia różnych mówców w *Hyde Park*, gdyż myślą sobie dobrodusznie: wygada się i pójdzie na piwo do baru, nic to nikomu nie zaszkodzi. Również jednak niechęć przejmować się np. tym, co się dzieje w Polsce, bo to jest daleko i Anglikom to bezpośrednio nie zagraża, a myślenie o tym burzy tylko spokój wewnętrzny.

W ten sposób, dzięki wychowaniu w poczuciu bezpieczeństwa, powstał ten typ Anglika z którym codziennie się stykamy: prosty, łatwy w obejściu, uprzejmy, pogodny, tolerancyjny — a jednocześnie przede wszystkim innym niecający sobie swój ułożony tryb życia, spokój i wygodę. Nie ma w tym żadnej sprzeczności, jest zupełna zwartość i jednolitość duchowa.

Naprawdę do głębi potrafi wzburzyć tych ludzi, skłonić ich do wielkich ofiar, wysiłków, nawet do całkowitej zmiany trybu życia — tylko jedno: bezpośrednie zagrożenie ich szczęścia i bezpieczeństwa. Nie żadne oderwane idee, ale właśnie tylko to! Tylko w tym jednym wypadku Anglik reaguje naprawdę całym sobą, głęboko i mocno: jest zmuszony do obrony swego szczęścia, swego stylu życia.

W tych momentach dopiero widać, że Anglik nie rozlał się jeszcze w dobrobycie i sybarytyzmie, że ma w sobie energię, wolę i namietność. Być może, wpływ wzmacnia-

jący miały tu kolonie i dominia: tam panuje inny styl życia, tam został utrzymany aktywny stosunek do życia, przypominający w pewnych swych rysach raczej Stany Zjednoczone Ameryki Pn. Zapewne, ciągle mieszanie się elementów zamorskich w życie Metropolii ma duży wpływ na utrzymanie siły vitalnej tego narodu. Wiemy, jak wielu przywódców narodowych angielskich przechodziło przez służbę za morzem, wiemy, że niejedna idea wzmacniająca wysłała właśnie z tamtych kręgów. Przecież i wielki ruch odrodzeńczy w wychowaniu młodzieży — skauting — rozdził się w koloniach i polega w poważnej swej części na wprowadzeniu w życie młodzieży z miast elementów życia pionierów kolonialnych. Jest to jakby odradzający, wzmacniający najazd życia kolonialnego, mocnego i dzielnego — najazd na kraj macierzysty, rozmiękczonego sybarytyzmem łatwego życia w poczuciu bezpieczeństwa.

Gdy Anglik zostanie zmuszony do walki, wtedy zaskakuje przeciwnika: znika nagle jego dobroduszność, ustępliwość, sybarytyzm, a zjawia się twardość, zaciętość i owa charakterystyczna angielska wytrwałość. Anglik nie lubi atakować z własnej inicjatywy: i tak Imperium rozrasta się prawie automatycznie wysiłkiem niewielkiej ilości ludzi, oznaczających się duchem ryzyka, inicjatywy. przycydy.

Ale Anglik, zagrożony bezpośrednio, potrafi się bronić. I wtedy może się stać niebezpieczny, a nawet straszny w zimnej pasji, że go zmuszono do walki, że mu przerwano spokojne życie. Wysoce charakterystyczne są ideały charakteru, jakie Anglik obrał sobie na trudne momenty walki. Są to ideały związane z obroną, nie z atakiem: gruby, ociężały *John Bull* i... buldog. To są dwa symbole, jakich Anglicy używają, gdy chcą wyrazić swoją siłę, wigor i wolę. Prawdziwym symbolem, wręcz wcieleniem ideału mocy angielskiego narodu, wg. jego własnego mniemania, jest buldog w czapczce marynarza. Duch żelaznego oporu — i jego narzędzie materialne: flota!

Anglik, przyzwyczajony od setek lat do tego, że mu się powodzi dobrze, że zwycięża, wykazuje zaiste wyjątkową odporność psychiczną na klęski. Wszystko może się walić naokoło, padać może naród za narodem, a na Anglika nie robi to zbyt wielkiego wrażenia; jest to nowy objaw jego *splendid isolation*, głębokie, niewyrażane słowami i niezawsze w pełni uświadomiane poczucie własnej wyższości nad innymi narodami. Te wiarę wyrobiło w nim długie pasmo powodzeń. Dlatego też nie wytrąca go z równowagi fakt, że padają inni; jest do głębi przekonany, że inni są słabsi od niego. Z góry też jest święcie przekonany, że jest lepszy od swego przeciwnika, kimkolwiek ten przeciwnik był — a więc, że musi wygrać koniec końców, mimo chwilowych niepowodzeń. Nie jest to przekonanie oparte na rachunku — przynajmniej masy nie obliczają drobiazgowo szans własnych i przeciwnika. Na oko przekonaniu temu mogą też przeczyć fakty materialne. Jest to bowiem przekonanie w swojej istocie irracjonalne, głęboko zakorzenione przeświadczenie o własnej wyższości *a priori*. To daje wielką siłę moralną narodowi w walce; w najcięższej, zdawałoby się beznadziejnej, sytuacji nikt się nie załamuje, nikomu nawet przez myśl nie przejdzie możliwość ostatecznej klęski. Ludzie myślą sobie: "jest ciężko, ale nieraz już bywało ciężko w naszej historii, a zawsze się wygrało." Trzeba tylko wykazać właściwe sobie cechy: spokój, upór, zaciętość buldoga, a wygra się

i tym razem, jak zwyciężyło się tyle razy dotychczas.

Ale w takich mementach niebezpiecznych i wymagających wysiłku Anglik traci już swoją zwykłą dobroduszość i tolerancję: jest to postawa dobra wobec zjawisk i ludzi niegroźnych. Gdy jednak sytuacja staje się groźna, postawa zmienia się radykalnie: Hitlera trzeba powiesić, Mosley'a zamknąć. Nie ma już dla tego ostatniego tej dobroduszości, co wobec mówców w Hyde Parku: wyrosło bowiem przekonanie, że jest on niebezpieczny, że przeszkadza w walce. A oto inny fakt.

Wydaje mi się, że wszystkie powyżej rozpatrzone zjawiska trzeba mieć przed oczyma, żeby jakoś obiektywniej i pełniej ocenić charakter narodu, wśród którego

obecnie żyjemy. Nie można wybierać dowolnie zakresu zjawisk, który akurat odpowiada jakimś naszej tezie, a wszystko inne pomijając milczeniem, bo wtedy nigdy nie zrozumiemy Anglików naprawdę.

Często staramy się szukać u naszych gospodarzy wzorów dla nas. Wydaje mi się oczywiste, że w dzisiejszej naszej ciężkiej sytuacji dają nam oni jeden tylko wzór: *jak nie tracić wiary we własne siły, jak wykazywać absolutną solidarność całego narodu—od króla do wyrobnika—w jednolitej decyzji nieustępliwej, twardej walki, walki we własnej obronie. Jak wreszcie wyizolować ze swego środowiska tych, którzy ten opór narodu chcieliby zalać.*

Wspaniały wzór postawił nam naród angielski latem i jesienią 1940 roku. Sytuacja

nasza dziś jest podobna, i jeśli choć trochę zrozumieliśmy Anglików, wiemy, że w takiej sytuacji mogliby oni reagować tylko tak, jak reagowali w 1940—nie inaczej! Jeśli więc szukamy obcych wzorów, angielski wzór jest tylko jeden: zimno, spokojnie, z rozmysłem zebrać środki obrony i bronić się bez myśli o załamaniu, z cierpliwością, spokojem i uporem bulldoga. Oto właściwy morał, z naszych obserwacji angielskich.

M. WRÓBLEWSKI.

Przypisek Redakcji:

Jeden z czytelników nadesłał nam poniższe uwagi, niewątpliwie bardzo interesującej treści. Zamieszczamy je, zastrzegając się, że redakcja nie podziela niektórych wyrażonych poglądów i sformułowań.

JERZY PIETRKIEWICZ

NA PROGU BALLADY

*Zawierzę noc i smutek i wojnę twym oczom.
W uśmiech mię prowadź,
w aleje ocienione snów długich rzesami.*

*Wiatr rozbil ponad nami w szelestach namioty,
dziergają się z drzeń, z szeptów kolorowe słowa.
Wstrzymaj oddech, niech wieki się w ciszy
przetoczą,
niech księżyc rzeźbi miasto i w srebrze odklamie
ulice—ślepe widma o kamiennych głowach,
niech place się otworzą jak ogromne grotty.
Zanim biały ptak świtu z chmury nie wyleci,
stój w niszy księżycowej na progu ballady.*

*Idę do ciebie z tęsknot. Wyjdz wargami
naprzeciw.
I uśmiech rozchyl—*

DIALOG WIECZORNY

*Jak rozwikłać czas z ramion, ust, spojrzeń
i włosów,
czas— który niema brzegów, dna niema i nurtu—
Cisza waży się między białym krzykiem ciała
i zmirzchem zaczajonym nieśmiało przy
ścianach.*

*Oto walczymy z sobą o każdy blask głosu
o każdy cień milczenia i o czas w kajdanach*

*Mierzymy oddaleniem i zbliżeniem warg
mądrość co sama siebie rozeznala
na wzorzystym kilimie dnia, w kolebce zmroku.*

*Ile w palcach rozwartych nieodgadłych skarg,
ile proroctw namiętnych w rozmodlonym
wzroku!*

*Znaleźliśmy się w wiosnie, odgadliśmy w smutku
podróznicy z dwu mroźnych biegunów rozpaczy.*

*Mówisz wargom: czas umarł a wieczność tak
krótka.*

*Szeptę włosom: szalonym szaleństwa
wystarczy.*

*Do nóg ci noc podpełzła i jak kot się lasi.
Księżyc przebudził piersi. Kto księżyc ugasi?*

ARKA MIŁOŚCI

Widzisz?

*ludzie naokoło nas toną,
owinięci w wyburzale sztandary,
jak w całun.*

*Achilles wlecze ciało Hektora i szydzi.
Miękkich poduch zabrakło już tronom,
na wieżach katedralnych konają zegary.*

*Na co warty? Schodzą wolno z wałów
między zdrajców, żebraków i blaznów.*

*Zółknie listopad cywilizacji—
strach wysiedlony z granicznych stacyj
pyta cudzoziemską przestrzeń: czemu*

widnokregiem ujarzmiłaś ziemię?

*W pocałunkach usta są nieme.
W pocałunkach oczy są ślepe.
Obejmujemy ziemię ramionami,
Zasiewamy wiosnę uśmiechami—
Ale w cudzych oczach coraz ciemniej—*

*choć dzień każdy spada złotym oszczepem,
choć noc każda występuje z brzegów
i w świt znosi troski gniewne jak kry.*

*Wyptywamy arką miłości
ku górcom z słonecznej rdzy,
gdzie gałęzie oliwne skrzykują gołębie.*

*Bez zagli i bez steru. Tak spojrzeń prościej,
Tak sercu głębiej.*

NOTY I UWAGI

WEWNĄTRZ MURÓW TWIERDZY EUROPEJSKIEJ

Oblężenie niemieckiej twierdzy europejskiej rozpoczęło się na dobre i, jak na oblężenie, postępuje bardzo szybkimi krokami. Ani o wzięciu twierdzy szturmem ani też głodem, jak wykazało doświadczenie, nie może być mowy.

Twierdza europejska zbudowana jest, jeśli można używać tak obrazowych porównań, na kształt klasycznej twierdzy średniowiecznej. Twierdza średniowieczna składała się zazwyczaj z conajmniej dwóch kondygnacji. Dokoła położonego w środku, i zazwyczaj na górze, zamku leżały niższe zamki czy podzamcza, mniej warowne, gorzej obronne ale dla całości obrony twierdzy bardzo istotne. Zdobyć podzamcza przez oblegających nie zawsze jeszcze oznaczało upadek twierdzy, gdyż za wysokimi murami Górnego Zamku można się było długo bronić.

Hitler w swoich rozmowach z Rauschniem przedstawiał mu wizję niemieckiej Europy jako szeregu Krajóv podporządkowanych "żelaznemu jądru," złożonemu z porzecznej Starej Rzeszy. To, co zapowiadał przed dziesięciu laty, zrealizował, nieco pośpiesznie i gwałtem, a więc niezbyt solidnie, ale w każdym razie zrealizował, w okresie obecnej wojny, a ściślej w pierwszym jej trzyleciu.

"Żelazne jądru" Europy chronione jest od południa niebieskim wałem Alp, od zachodu fortyfikacjami "Westwallu," nazwanego przez Francuzów pomyłkowo "Linia Siegfrieda", od północy niewątpliwie ufortyfikowanym brzegiem mórz Północnego i Bałtyckiego, od wschodu starymi fortyfikacjami Prus Wschodnich, a dalej świeżymi i raczej improwizowanymi fortyfikacjami wzdłuż lewego brzegu Bugu. Karpaty, Białe Karpaty, Małe Karpaty — prowadzą aż do podnóża Alp Austriackich, skąd Krasem dochodzi się do Adriatyku. Słowem "Żelazne jądru" obejmuje, poza Niemcami, Słowenię, Czechy, Słowację i większą część Polski.

Dokoła tego zamku leży szereg podzamczy, z których każde może stanowić teren obronny dla siebie. Na zachodzie leży Francja wraz z Niderlandami. Na południu Włochy. Na południowschodzie zasadnicze podzamcze stanowi obszar historycznych Węgier, zamknięty zewnątrz Karpatami. Przed nim wachlarzem leżą dwa terytoria: Mołdawia z Wołoszczyzną i przedbalkańską Bułgarią oraz Balkany (Rumelia, Grecja, Albania, Serbia). Na wschodzie podzamcze przypomina raczej ogromny majdan o słabo zaznaczonych granicach. Obejmuje on kraje bałtyckie, Białoruś i Ukrainę, gdzieś po Dnieprze. Na północy podzamcze stanowi jakby osobny bastion za fosą. Składa się ono z krajów skandynawskich.

Jeszcze rok temu cały system twierdzy był nigdzie nie naruszony. Dziś oblegający są już na dolnych zamkach.

Podzamcze włoskie trzasło i wydaje się już być tylko kwestią czasu, kiedy Sprzymierzeni staną u stóp wału alpejskiego, wprost pod murami zamku właściwego. Na Bałkanach wzmaga się stan zamięszania, sam w sobie wszakże strategicznie niegroźny, Północ jest nienaruszona. Na wschodzie naturalną linię obronną Dniepru trzeba było w południowej części opuścić jeszcze w zeszłym roku, ale rzymała się jeszcze północna. Obecnie nie-

przyjaciel przełamał się i tam, i to w bardzo niebezpiecznym miejscu, gdzie system obronny Dniepru łączy się z systemem obronnym pojezierza inflanckiego. Między nacierającym przeciwnikiem a murami "Żelaznego jądru," które w dodatku na tym odcinku są najbliższe, zdaje się nie być już żadnej linii stałej obrony.

Najważniejszym wszakże wydarzeniem jest wdarcie się najgroźniejszych i naogół całkiem świeżych sił oblegających do fortecy francuskiej. "Wał Atlantycki" okazał się przeszkodą niewystarczającą dla siły ognia armii gen. Montgomery. Można było liczyć jeszcze na wrzucenie jej z powrotem do morza tak długo, jak długo nie miała do dyspozycji żadnego portu. Ale oto ostatnio właśnie Cherbourg padł. Ten, trzeci co do wielkości, po Hawrze i Marsylii, port francuski, główna baza floty wojennej, rozbudowana wielkim kosztem przez Napoleona Trzeciego, jest dostępny dla największych okrętów oceanicznych. Transporty mogą do niego zawiązać nie tylko z Anglii ale i z Ameryki wprost. Niemcy nie rozporządzają ani flotą ani dostateczną ilością łodzi podwodnych czy samolotów, by przeszkodzić jego pełnej eksploatacji przez Sprzymierzonych. Latające bomby mogą robić znaczne szkody ale nie na długo, gdyż ich bazy łatwo mogą znaleźć się w zasięgu nieprzyjaciela. Od czasu zajęcia Cherbourga front francuski można uznać za fakt niewzruszalny a siły Sprzymierzonych będą na nim ustawicznie wzrastać.

W historii ten sam bieg wypadków nie powtarza się dwa razy pod rząd. Niemcy żadnych odznak, któreby wskazywały, że Niemcy będą kapitulować zanim wróg wejdzie na ich ziemię. Przeciwnie, wszystko zdaje się wskazywać, że będą zaostrzać walkę, chwytając się tym rozpaczliwszych środków, im bliżej klęski. Istnieje w tej wojnie jeden przykład niemieckiej psychologii w podobnych sprawach. Gdy Niemcy zrozumiały, że w pełni wojny nie wygrają, a stało się to przed niespełną dwoma laty, zabrali się do systematycznego tępienia żydów w Europie. "Co będzie, to będzie — zdają się oni myśleć — ale tę kwestię sobie załatwimy." Obecnie zapowiedź czegoś odpowiedniego w zakresie wojennym zdają się być latające bomby.

Kierownicy Niemiec nie mogą mieć żadnej nadziei osobistej ani politycznej w razie klęski, a niema siły w Niemczech, któryby była zdolna ich obalić. Muszą się oni bronić do ostatka i nie należy liczyć na to, by zawahali się przed użyciem jakiegokolwiek środka, któryby dawał choć trochę nadziei pokonania przeciwnika.

Optymiści głoszą, że wojna w Europie skończy się jeszcze w tym roku. Zdają się oni nie zauważać tej podwójnej struktury twierdzy europejskiej. Nigdzie jeszcze nieprzyjaciel nie stoi pod murami właściwego zamku niemieckiego. Przypuszczać wolno, że przed końcem tego roku zamek ten ze wszystkich stron będzie oblężony, ale czy oznacza to koniec wojny, można wątpić.

Pierwsze dwulecie wojny było okresem triumfów niemieckiego oręża na wszystkich frontach. Drugie dwulecie było okresem fortyfikowania się Niemiec i przygotowywania sous-zników do odwetu. Piąty rok wojny był rokiem wdarcia się Sprzymierzonych do Europy. To wszystko, co dotychczas można powiedzieć,

DEWEY

Wyznaczenie p. Dewey'a jako kandydata Republikanów do mety przydenckiej, oraz wyrażona już zgoda kandydata na wzięcie udziału w wyborach — stanowią fakty bardzo ważne dla polityki i amerykańskiej i światowej. Jest stanowczo za wcześnie by stawiać jakiegokolwiek horoskopy na przyszłość. Należy jedynie bardzo uważnie śledzić nowiny, jakie nadchodzić do nas będą w tym bardzo zresztą specjalnym, i jakby dla Europejczyka zaklętym języku politycznym Ameryki.

Wstępne oświadczenie Dewey'a obok zapewnień dotyczących nieograniczonej niczym woli prowadzenia wojny aż do ostatecznego zwycięstwa na wschodzie i zachodzie, obok słów nic dobrego nie wróżących dla nieprzyjaciół japońskich i niemieckich, — zawiera jeszcze i pewne uwagi co do przyszłego pokoju. Pokój ten będzie musiał utrzymać i utrwalić zwycięstwo — w przeciwnieństwie do tego co się działo po Pokoju Wersalskim. Służyć będzie do tego celu — między innymi, ale nie wyłącznie — przyszła organizacja międzynarodowa. Podajemy poniżej dokładne brzmienie ustępu mowy p. Dewey'a, dotyczącego właśnie tej kwestii:

"Jest tylko niewielu, bardzo niewielu Amerykanów, którzy naprawdę sądzą, że Ameryka winna pozostać na uboczu od spraw światowych. Jest tylko względnie niewielu, którzy sądzą, że byłoby praktyczne, aby Ameryka czy też jej aliancy mieli zrezygnować z suwerenności i dołączyć do Ponad-Państwa (super-State)." Ogromna większość opinii amerykańskiej szuka rozwiązań pomiędzy tymi ekstremami. "Żadna organizacja pokoju nie będzie trwała — czytamy dalej — o ile będzie przemycona ukradkiem, oszustwem, lub przy pomocy chwilowego zahypnotyzowania głośno brzmiającymi dźwiękami."

Ponad wszystko, pamiętać należy, że "budowa pokoju jest czymś więcej niż tylko materią do międzynarodowej współpracy." Trzeba samemu być na to "mocnym i zdrowym i sprawnym."

Istotnie aż za często, w okresie między obu wojnami, sprawy wyglądały tak, że poszczególne, małe i wielkie, mniejsze i większe, państwa alianckie oglądały się na Genewę i wszelkie jej przynależności, jako na panaceum zapewniające wszelkie rozwiązanie polityczne. Takie oglądanie się na międzynarodową organizację zwalniało przez lat dwadzieścia od trosk prawdziwej własnej odpowiedzialności politycznej.

Skutki tego oglądamy dzisiaj.

KRYZYS UNNRA'Y

Stworzenie UNNRA (United Nations Recovery and Rehabilitation Administration) było jednym z śmielszych przedsięwzięć międzynarodowych. Układ tworzący UNNRA, podpisany przez 44 państwa, dawał tej organizacji bardzo szerokie ramy działania w zakresie powojennej odbudowy świata. Szedł on nawet tak daleko, że zobowiązywał rządy do nieczynienia żadnych zakupów zagranicą bez zasięgnięcia opinii tej organizacji. Stworzono ogromną Radę złożoną z przedstawicieli wszystkich państw członkowskich, szczypty Zasad złożony z przedstawicieli Wielkiej Czwórki, urząd Dyrektora, którym został Amerykanin (Lehmann, b. gubernator nowojorski) oraz zaczątki administracji własnej.

UNNRA ma działać na wezwanie armii okupacyjnych lub rządów. Było więc bardzo istotnym ustalenie stosunków z armiami. O ile z armią Zachodnich Sprzymierzeńców ustalono bardzo ściśle współpracę, o tyle Wschodni Sprzymierzeniec pozostawiał sprawę we mgle, jakkolwiek posłał swoich łączników do nowej organizacji międzynarodowej i zasiadł w jej władzach. W tym była pierwsza trudność.

Wkrótce pojawiła się druga. Kongres partii Republikańskiej amerykańskich powziął uchwały, niedostatecznie nam jeszcze znane, ale, jak się zdaje, zmierzające mniej-więcej do tego, by ograniczyć istotną działalność UNNRA do "dobrych usług" i opiniowania o potrzebach kredytowych terytoriów wyswobodzonych. Oczywiście nie kwestionowano działalności jej w zakresie zdrowia publicznego i transportu przesiedlonej przez Niemców ludności. Mimo, że UNNRA ma zasadniczo działać tylko w okresie pierwszych lat powojennych, były pewne głosy, które z jej zamierzoną działalnością łączyły zbudowanie jedności gospodarczej europejskiej, a to przy pomocy bardzo prostego środka, a mianowicie przejścia aparatu centralnego, jaki stworzyli Niemcy dla Europy we wszystkich niemal zasadniczych dziedzinach życia gospodarczego. Oznaczałoby to pozostawienie central tych w Niemczech.

Obecnie przestano o tym całkiem mówić. Nie wiemy ile w tym kryzysie koncepcji UNNRA, odbywającym się za kulisami, jest elementu trudności międzynarodowych a ile wpływu wewnętrznym problemom amerykańskich. Republikanie, nawet jeśli nie wygrają wyborów prezydenckich, mogą wygrać wybory do Kongresu, taki rozwój wydarzeń uchodził nawet za bardzo prawdopodobny. Toteż ich głos musi być poważnie brany w rachubę.

Jest rzecz niezmiernie ciekawą obserwować nie dalszych przeobrażeń, jakim ulegać będzie zagadnienie tej, jakkolwiek doraźnej, ale niezwykle potężnej organizacji międzynarodowej.

CZESKI REALIZM

"WRN Robotnik w Walce," organ podziemny P.P.S. w Polsce zamieścił w swoim Nr-ze z 19 grudnia 1943 bardzo ciekawą korespondencję z Pragi, podpisaną inicjałami A.Z. Autorem jest Polak, przebywający w czasie wojny w Czechach, człowiek umiejący obserwować i rozumować. Korespondencja ta jest pierwszym tego rodzaju zbiorem spostrzeżeń o położeniu w Czechach i dlatego stanowi niezwykle cenny materiał informacyjny zarówno jeśli idzie o Czechy same jak też i o ich ustosunkowanie do innych krajów Europy Środkowej. Podajemy cały tekst korespondencji:

"Czesi żyją w warunkach całkowicie różnych od naszych, tak różnych iż wydają się one prawie nie do wiary, Wynika to przede wszystkim z faktu, iż Czesi nie przeszli przez katastrofę wojenną, lecz utracili niepodległość w sposób względnie spokojny. Życie ich jest niewątpliwie twarde i pełne ograniczeń, lecz jakże dalekie od zmyru, w której my zmuszeni jesteśmy żyć.

"Czesi nie wiele wiedzą o odpowiedzialności zbiorowej, masowych łapanek, egzekucjach i obozach koncentracyjnych. Kiedy opuszczają swoje domy, nie potrzebują się obawiać, że zostaną schwytani w obławie ulicznej i nigdy już do domów i rodzin nie powrócą. Terror nazistowski dał się odczuć w pewnych warstwach społecznych (włączając w to profesorów uniwersytetów, osoby zaangażowane

wybitnie w akcji antyniemieckiej oraz rodziny emigrantów), ale tak jest i w samej Rzeczy. Czech ma prawo usiąść obok Niemca w tramwaju, w pociągu, w kinie i w teatrze. Ruch uliczny nie jest poddany ograniczeniom nocnym i odbywać się może zarówno w dzień jak i w nocy. Tylko Polacy, Żydzi i Cyganie nie mają praw i nie mogą zmienić ani pracy ani miejsca zamieszkania. Zakazy te są specjalnie surowe dla Żydów, którzy obecnie są w Czechosłowacji likwidowani, tak jak u nas w Polsce.

"Czesi zdolali zatrzymać pewne ślady niezależności narodowej: dotąd mają nico-graniczoną liczbę czasopism i mogą czytać swoje ulubione gazety jak przed wojną, choć gazety te zostały "wyrównane" — *gleichschaltet* — podobnie zresztą jak cała niemiecka prasa w Rzeczy. Każdy Czech może mieć aparat radiowy i nastawić go na kontrolowane przez Niemców stacje, które nadają czeską muzykę, czeskie programy... i nazistowską propagandę. (Pomimo tych programów miejscowych ludność słucha czeskich audycji z Londynu.) Czeskim związkowi sportowemu wolno rozgrywać zawody jak przed wojną i każdy zwolennik sportów może udać się w każdą niedzielę na zawody, które go interesują.

Czesi jednakże stawiają opór ideologicznej propagandzie nazistowskiej. Tubyłcy, zwolennicy "Nowego Porządku w Europie," ustawicznie apelują do "realizmu" i zdrowego sensu czeskiego, który — wedle ich argumentów — wręcz narzuca przyjęcie koncepcji "Wielkich Niemiec," nie zyskali oni jednak żadnego wpływu na masę. Nicnawisz przeciw niemieckim natrętom ustawicznie wzrasta, a groźby zemsty wypowiedane są co raz bardziej otwarcie. Czesi nie mają jednakże tego samego poczucia ucisku co Polacy. Reakcja napewno będzie słabsza i mniej radykalna. Oczekiwani należy, iż popularne stanie się wśród Czechów to samo hasło co w tamtej wojnie — wyparcie Niemców poza granice czeskie.

"Nic wiele da się powiedzieć o czeskim życiu politycznym. Nie ma tu prasy podziemnej, oprócz komunistycznej, która ukazuje się w okresach nieregularnych. Można powiedzieć, iż w porównaniu z sytuacją przedwojenną zmiany nie były bardzo głębokie. Nic nie słyhać o nowych prądach politycznych. Partia Republikańska, tak zwana Partia Agrariuszy, jakkolwiek pozbawiona swoich przywódców, którzy w latach 1938-39 współpracowali z istniejącym wtedy reżimem wobec groźby wojny, utrzymała swoje wpływy. Agrariusze oraz Katolicka Partia Ludowa, która ma wpływy na środkowych Morawach oraz także w kołach intelektualnych, kapitalistycznych i przemysłowych — sprzeciwiają się hasłu ściślejszej przyjaźni z Sowietami. Socjalni Demokraci cieszą się dużymi wpływami, specjalnie w okręgach przemysłowych (Morawy Południowe). Narodowi socjaliści (partia Benesza) nie są silni liczebnie, lecz jako partia najbardziej dotknięta aresztowaniami i prześladowaniem oficjalnym, najbardziej otwarcie jeszcze przeciwstawiają się nieprzyjacielowi. Kiedyś najsilniej wypowiedali się za wojną; dzisiaj jednakże ich program polityczny kładzie główny nacisk na ściślejszą współpracę polityczną z Wielką Brytanią i Sowietami. Z powodu wielkiego prestiżu, jakim cieszy się Benesz, wpływ ich na szerokie masy jest bardzo duży. Co do Narodowych Demokratów (grupa Kramarza), nic o nich nie słyhać.

Czesi skłonni są popierać współpracę z Rosją Sowiecką, a to pod wpływem swego "poczucia realizmu," które, wedle tego co mówią, nie wyklucza jeszcze innej możliwości

— ściślejszych stosunków z Polską. Wszyscy bardziej inteligentni i politycznie rozumujący Czesi są za ściślejszą współpracą polsko-czeską po wojnie. Tym nie mniej uważają za przedwczesne dyskutowanie szczegółów unii, federacji czy paktu. W całości, pomimo całego szacunku dla Benesza i rządu ks. Szramka jako dla najwyższych moralnych przedstawicieli narodu, oraz dla czeskiej koncepcji państwa, wielu Czechów nie przywiązuje zbyt wielkiego znaczenia praktycznego do rokowań czesko-sowieckich albo do istnienia czesko-sowieckiego Legionu na Wschodnim Froncie. Sądzą oni, że wszystko zdecydowane będzie przez sam naród w swoim własnym kraju, po wyrzuceniu Niemców.

"Przesunięcie obecnie opinii publicznej w naszą stronę nie może ulegać wątpliwości. Czasem odżywa jeszcze oburzenia na krzywdę zadaną Czechosłowacji podczas "inwazji," w 1938 r., ale znika ono szybko wobec faktu, iż byliśmy i jesteśmy dotąd w pierwszej linii walki przeciw wspólnemu wrogowi. W Pradze współczucie dla nas jest tak powszechne, iż w razie potrzeby Polak liczyć może na wszelką możliwą pomoc i ochronę. Dokonała się zasadnicza zmiana postawy w Czechosłowacji, która ułatwi przyszłą polsko-czeską współpracę. Nie wolno dopuścić, by zagadnienie granic, które nie ma znaczenia życiowego, stało się przeszkodą w tej współpracy. Lud Pragi rozumie, iż w powojennej organizacji Europy Środkowej spór o granice nie będzie już mógł podzielić dwu narodów, które ciągnąć będą najwyższe korzyści z życia razem w przyjaźni i pokoju."

PRUSY WSCHODNIE

Przyłączenie Prus Wschodnich do Polski jest jednym z naszych zasadniczych celów wojennych, przyjętych przez cały naród. Tak samo jak cały naród polski zjednoczony jest w obronie integralności naszych dotychczasowych granic, tak samo cały naród domaga się skończenia z niemieckim kolonialnym dominium na ziemi, która należy do naszego narodowego obszaru geograficznego. Zasada integralności naszych granic nie jest w sprzeczności z domaganiem się Prus Wschodnich, gdyż bronimy naszej integralności, nie niemieckiej.

Trzeba wobec tego zasygnalizować, że w miarę jak kruszeje militarna moc niemiecka, na powierzchni życia międzynarodowego zaczynają ukazywać się nowi obrońcy zdobywcy niemieckich. Są to niemieccy emigranci w W. Brytanii i w Stanach Zjednoczonych. W szczególności — jak donosi londyński *Central European Observer* — powstał ostatnio w Nowym Yorku niemiecki emigracyjny *Komitet Ocalenia Prus Wschodnich*. Na czele tego Komitetu stanął Stampfer, niegdyś redaktor naczelny socjalistycznego *Vorwaerts* oraz dwaj młodzi Niemcy o znamienych nazwiskach: Stinnes i Stresmann. Jeden z nich jest synem znanego króla stali w Niemczech Hugona Stinnesa, drugi jeszcze głośniejszego w swoim czasie kanclerza Stresmanna. Starzy Stinnes i Stresmann umarli, ale synowie ich nadal prowadzą ich dzieło w sojuszu z niemieckim socjalistą. Tak wszyscy Niemcy się jednoczą, by bronić starego niemieckiego rabunku na Wschodzie.

Dlatego też takim zgrzytem na londyńskim bruku był list znanego polskiego dziennikarza pr. Zbigniewa Grabowskiego, ogłoszony w jednym z czerwcowych numerów londyńskiego *Tribune*, w którym p. Zbigniew Grabowski wysunął pomysł umiędzynarodowienia Prus Wschodnich w miejsce przyłączenia ich do

Polski. Skrytykowany przez *Dziennik Polski* p. Grabowski zamieścił w tym piśmie wyjaśnienia, z których wynika, że stanowisko takie podyktowało mu długoletnie doświadczenie z różnów i dyskusyj z Anglikami, niechętnie naogół dopuszczającymi myśl przyłączenia Prus Wschodnich do Polski.

Jest to stanowisko nie do utrzymania. P. Grabowski uchodzi za eksperta terenu angielskiego w sprawach polskich i europejskich. P. Grabowski jednak drugi raz już robi poważny błąd na terenie międzynarodowym. W 1943 r. w liście do innego londyńskiego tygodnika oddawał Czechom na własną rękę nasze Zaolzie, teraz chciałby oddać Prusy Wschodnie jakiejś Komisji Międzynarodowej, t.j. chyba w ręce Mocarstw najbliższych temu rejonowi geograficznie. Taka jest logika tej sugestii p. Grabowskiego, napewno wbrew jego intencjom.

P. Grabowski nie reprezentuje nic w polskim życiu politycznym, oprócz własnego pióra, którym władza zresztą biegle choć wcale nie genialnie. Otóż nie wolno obywatelowi, który umie pisać, naruszać dyscypliny narodowej dlatego tylko, że umie pisać. Sprawa Prus Wschodnich jest sprawą historyczną całego narodu polskiego, który wolę swoją w tym zakresie wypowiedział, i w Kraju na Emigracji, jasno i bez niedopowiedzeń. To obowiązuje wszystkich Polaków. Zagończykstwo w polityce i publicystyce na terenie międzynarodowym można by zostawić dziennikarzom z jakiejś Rurytanii, a nie wolno parać się nim pisarzom reprezentującym w swojej dziedzinie wielki i historyczny naród polski. Nie będą nas ludzie szanować, jeżeli mi sami nie okazemy należnego respektu wobec postawy naszego narodu.

Argument p. Grabowskiego, że Anglicy niechętnie słyszą o zamiarach przyłączenia Prus do Polski, dowodzi jeszcze jednego nieporozumienia. Anglicy o wielu rzeczach myśleli niechętnie, dopóki Niemcy nie zaczęli im tej niechęci wybijać z głów bombami lotniczymi i ostatnio "robotami." Niekoniecznie więc Europa musi wyglądać tak, jak to wynika z niektórych zastarzałych uprzedzeń angielskich. Dolegliwość to wprawdzie stara, ale lekarstwo końskie leczy pacjenta w tempie przyspieszonym.

Poza tym p. Grabowski stał się tu mimowolnym autorem i aktorem zabawnego *qui pro quo*. Swoją rolę eksperta, którego zadaniem jest informować ściśle polityków o tym, co Anglicy widzą chętnie a co niechętnie, wziął za rolę polityka, którym jako żywo nie jest. Nie może być zadaniem polityka ograniczanie się do rzeczy i spraw popularnych. a odstępowanie od zadań ciężkich i niepopularnych. Polityk polski, który by wyszukiwał najpierw co Anglikom się podoba, a potem starał się to tylko przeprowadzić, byłby zaiste tylko śmieszna figurą. Wiemy, że niestety nie brak takich w polskim świecie politycznym w Londynie, ale dlaczego ekspert Grabowski tak zatęsknił do ich towarzystwa?

PRZYSIĘGA JANCZARSKA

Pozostający na służbie rosyjskiej p. Zygmunt Berling, dowódca oddziałów złożonych z Polaków w Związku Sowieckim, wydał przed paru miesiącami w Moskwie bankiet z okazji utworzenia trzeciej dywizji w tej formacji. Nie wątpimy, że w oddziałach tych jest wielu Polaków, którzy między służbą Polsce i służbą interesom obcym, ostatecznie mając możliwość wyboru wybiorą Polskę, nie należy jednak do nich sam p. Berling, pomimo że twierdzi inaczej.

Na bankiecie wydanym w Moskwie przed paru miesiącami z okazji utworzenia trzeciej dywizji w formacji, którą dowodzi, p. Berling skorzystał z obecności jedyne go attache cudzoziemskiego z akredytowanych w Moskwie, generała Armii U.S.A. Williama E. Krista, by — jak donosi prasa amerykańska — oświadczyć, że on jest właściwym przedstawicielem Wojska Polskiego. Nie odpowiada to prawdzie.

P. Berling jako dowódca oddziałów polskich formowanych pod auspicjami obcego rządu musi odpowiadać przed prawem i państwem polskim zarówno za sam fakt, jak i za wszystkie towarzyszące mu okoliczności. Dziś jedną tylko okoliczność oświetlimy, a mianowicie przysięgę składaną przez Polaków wciąganych do tych oddziałów w Rosji.

Tekst tej przysięgi podał organ komunistyczny wydawany w Moskwie po polsku — *"Nowe Widnokreśli"* z 22 listopada 1943 Opiewa on następująco:

"Składam uroczystą przysięgę ziemi polskiej, broczącej we krwi, narodzie polskiemu, umęczonemu w niemieckiej niewoli, że nie skalam imienia Polaka, że wiernie będę służył Ojczyźnie".

Nie wiemy czy wszyscy żołnierze z tych oddziałów ograniczyli się do tej przysięgi, czy nie złożyli równocześnie w duchu przysięgi innej, tak jak legionieści Piłsudskiego w 1914 r., którzy składając przysięgę powtarzali nie formułę narzuconą im przez Austriaków, ale zupełnie inne słowa. Nie miało to w owej chwili żadnego znaczenia politycznego, ale nie mniej dawało żołnierzom legionowym poczucie, że przysięgi Austrii nie złożyli.

Jeżli jednak ograniczymy się do rozważenia samej przysięgi berlingowskiej, zauważymy od razu, że:

1. nie ma w niej imienia Bożego,
2. nie ma Państwa Polskiego, ani wierności dla niego,
3. nie ma pojęć niepodległości i wolności Polski,
4. nie ma posłuszeństwa dla prawowitych władz Polskich, Prezydenta R.P. praw polskich i polskich sztandarów wojskowych.

To zaś, co w niej jest, da się interpretować tak różnie, jak to interesom obcym będzie się wydawać dogodnie. Wzmianki o ziemi polskiej, narodzie polskim, imieniu Polaka i Ojczyźnie są wobec pominięcia hasła niepodległości tylko jednym wielkim nadużyciem i — że zacierpiemy tu określenie z pojęć religijnych — bluźnierstwem.

Polskie Siły Zbrojne znają pięć tekstów przysięgi wojskowej: dla chrześcijan wszystkich wyznań, dla muzułmanów, dla innych niechrześcijan, dla bezwyznaniowych i dla ochotników posiadających obywatelstwo obce. Różnią się one jedynie w słowach odnoszących się do zasad religijnych lub ich braku, natomiast sama treść prawna jest ta sama i nie pozostawia żadnej wątpliwości za co żołnierz przysięga przelać swą krew. Oto tekst przysięgi dla chrześcijan wszystkich wyznań:

"Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Świętej Jedynemu, być wiernym Ojczyźnie mej Rzeczypospolitej Polskiej, sztandarów wojskowych nigdy nie odstąpić, stać na straży Konstytucji i honoru żołnierza polskiego, prawu i Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej być uległym, rozkazy dowódców i przełożonych wiernie wykonywać, tajemnic wojskowych strzec, za sprawę Ojczyzny mej walczyć do ostatniego tchu w pierśiach i w ogóle tak postępować, abym mógł żyć i umierać jak prawy żołnierz polski. Tak mi dopomóż Bóg i Święta Syna Jego Męka. Amen."

Różnica widoczna! Różnica zasadnicza! Weźmy jeszcze dla porównania teksty przysięgi żołnierskiej w armiach W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Tekst brytyjski:

"Ja (imię i nazwisko) przysięgam na Boga Wszechmocnego, iż będę wierny i dochowam uczciwie podległości (bear true allegiance) Jego Mości Królowi Jerzemu Szóstemu, Jego Dziedzicom i Następcom, i że będę, jak mi to nakazuje obowiązek (as in duty bound), rzetelnie i wiernie bronić Jego Kr. Mości, Jego Dziedziców i Następców w Osobie, Koronie i Godności, przeciw wszystkim nieprzyjaciolom i że będę przestrzegał i słuchał wszystkich rozkazów Jego Królewskiej Mości Jego Dziedziców i Następców, oraz Generalów i Oficerów przełożonych nademną."

Tekst amerykański:

"Ja (imię i nazwisko) przysięgam uroczystie, iż dochowam prawdziwej wierności i podległości Stanom Zjednoczonym Amereki i że będę służył im uczciwie i wiernie przeciw wszystkim i jakimkolwiek nieprzyjaciolom i że będę posłuszny rozkazom oficerów przełożonych nademną, stosownie do przepisów i Artykułów Wojskowych."

Sapientia sat. Brytyjczyk wie po złożeniu swojej przysięgi komu służy i dla jakich celów. Tak samo wie Amerykanin. Tak samo wie Polak w Siłach Zbrojnych Rzeczypospolitej. Tylko Polak w "wojsku Berlinga" zmuszony jest składać przysięgę, która nadużywając pojęć drogich sercu poskiemu nie daje żadnych gwarancji, iż polska ziemia nie znajdzie się znowu pod obcym panowaniem i że naród polski nie będzie znowu męczony i dręczony pod obcym knutem.

BOMBY LATAJĄCE

Nowe bombardowanie południowej Anglii przez Niemców bombami wystrzeliwanymi "na kierunek" i poruszonymi w powietrzu motorem nowego typu "odrzutowego" (*jet propulsion*) daje wyniki całkowicie niewspółmierne z wysiłkami i planami niemieckimi. Pisarze wojskowi w prasie angielskiej zgadzają się, iż nowa ta broń wprowadzona została w nadziei, że dać może rezultaty politycznie i strategicznie decydujące. Kierownictwo wojenne niemieckie zamierzało zapewne pobić lądujące we Francji wojska brytyjsko-amerykańskie, a równocześnie terrorem doprowadzić Anglików do rozmów o negocjowany pokój. Tymczasem uzbrojenie wojsk ekspedycyjnych okazało się tak potężne, ich wyćwiczenie i dowodzenie tak dobre, iż to Niemcy zostali pobici zarówno na brzegu jak i w bitwie o Cherbourg, wielki port i wielką twierdzę lądowomorską. Walka we Francji rozwija się dobrze i coraz lepiej, latające zaś bomby nie dały oczekiwanego rezultatu.

Nowy ten wynalazek skierowany jest już całkowicie nie przeciw armiom w polu i ich podstawom zaopatrzenia w miastach i portach lecz przeciw ludności cywilnej. Jest to broń terrorystyczna typu nekającego. Ma ona na celu złamanie morale ludności cywilnej, burzenie jej domów, zabijanie bez względu na wiek i płeć, odebranie poczucia bezpieczeństwa i ochrony, męczenie niepewnością w dzień i brakiem snu w nocy.

Plany te nie zostały zrealizowane. Ilościowo straty są o wiele niższe niż przy bombardowaniach lotniczych niemieckich w Anglii, a technicznie ludność co raz bardziej się dostosowuje, zmniejszając straty jeszcze bardziej. Groźne jest tylko bezpośrednie trafienie, poza tym nawet w ostatniej chwili można znaleźć ochronę.

Oczywiście, główne znaczenie ma fakt, że Niemcy wystąpili "za późno i za skąpo" (*to little and to late*) i że ogromna większość bomb latających strącana jest przez lotnictwo myśliwskie i przez artylerię plot przed miejscowościami zamieszkałymi. Poza tym ludność Anglii pomimo przedłużania się wojny odznacza się nadal duchem uporu i nawet pewnej przekory wobec zamachów nieprzyjaciela. Materiał ludzki jest tu dla zamiarów niemieckich nadal bardzo niewdzięczny.

Niemcy grożą jeszcze użyciem innych, silniejszych, bomb. Znalezione w zdobycy Normandii wyrzutnie miały służyć podobno bombom większego kalibru, niż miotane dotąd. Bomb tych jednak dotąd nie ma a wszelkie dane wskazują, że gdyby były gotowe, byłyby już użyte. Tymczasem walki się toczą, wojska niemieckie na wszystkich trzech frontach są atakowane i bite oraz tracą dużo materiału wojennego, tak że wiadomym czy rozbijane od roku na dużą skalę lotnictwem przemysł i transport zdolne są jeszcze do nowego dodatkowego wysiłku w takich rozmiarach, żeby mogło to wpłynąć na sytuację wojenną.

Politycznie powinna zyskać najwięcej na nowych bombach niemieckich sprawa polska. Okazuje się raz jeszcze, że Kanał Angielski może zatrzymać już tylko czołgi, nie zatrzymuje zaś lotnictwa, ani powstającej w naszych oczach nowej potężnej artylerii. Wynalazek niemiecki, a raczej zastosowanie przez Niemców nowych wynalazków do miotania pocisków na dużą odległość, jest dopiero w powijkach. Każdy Sztab Imperialny, w każdy Gabinet brytyjski musi brać pod uwagę konieczność gruntownego rozbrojenia Niemiec. Nie ma innej gwarancji przed diabelską pomyslowością niemiecką w niszczeniu, która w przyszłej wojnie mogłaby porazić Wielką Brytanię. Rozbrojenie zaś gruntowne Niemiec mieć będzie dalekosiężne skutki polityczne w całej Europie. Zniknąć muszą zarówno dawniejsze pomysły moskiewskie o oszczędzenia armii niemieckiej, jak i utrzymywania ogromnych zbrojeń i stwarzania na przedpolach Rosji stref bezpieczeństwa strategicznego. Cała równowaga sił musi wyglądać zupełnie inaczej, niż to planowano tu i ówdzie dotąd.

Byli wprawdzie Anglicy, którzy dotąd ludzili się, że w ogniu pięcioletniej już wojny ulepszyli się nie tylko bomby, ale i dusze niemieckie.

Znany dziennikarz z *News Chronicle* p. A. J. Cummings, opowiada, jak to jeden z jego przyjaciół, "rodzaj idealisty politycznego," zaczął szukać wśród rannych jeńców niemieckich z Francji "pragnienia pokoju i nowego spokojnego trybu życia." Stał się on jednak "horri-fied," kiedy dowiedział z ust Niemców nawet nie-nazistów, iż są oni pełni "jadowitej złości do rasy anglosaskiej" i że żywią przekonanie, iż w kategoriach historii Niemcy jako "rasa władców" muszą jednak podbić świat i że uczynią to zapewne w najbliższej, t.j. Trzeciej Wojnie Światowej.

Tak, tak, *Horri-fied!*

PRZYCZYNY DO KWESTII ŻYDOWSKIEJ

Uważna obserwacja prasy brytyjskiej i amerykańskiej dostarcza dowodów, że sprawa żydowska nie jest w obu tych społeczeństwach *taboo* i że dyskutuje się ją nawet obecnie, kiedy mamy ważniejsze zagadnienia do rozwiązywania.

I tak jeden z tygodników angielskich "The Statist," określający się jako "An Independent

Journal of Finance and Trade," poświęcił niedawno kwestii żydowskiej cały artykuł, który choć pełen uproszczeń, przedstawia jednak wiele materiału do myślenia. Oto wyjątki z tego artykułu:

"Ludzie nieobznajmieni z wydarzeniami przeszłości zapytują: "czy problem żydowski powstał równocześnie z partią hitlerowską?" i "dlaczego rozszerzył się on na tak wiele części świata?" Odpowiedź na to jest, iż problem żydowski jest bardzo dawny. Był on równie wielki albo większy nawet przed wzrostem Hitlera i jeżeli — jak my to sugerujemy — Żydzi sami okażą się niezdolni do rozwiązania go, przeżyje on na długo obecny reżim w Niemczech.

Należy wyjaśnić od razu, że duża większość społeczności żydowskiej składa się z ludzi przyzwyczajonych i zdanych do świadczenia wartościowych usług ludzkości, lecz jak i inne społeczności mają Żydzi wśród siebie pewną ilość złych charakterów. Chrześcijańskie społeczności oddają swoje czarne owce instytucjom które są odpowiednikiem naszej "Old Bailey" (Sąd kryminalny w Londynie). Żli Żydzi natomiast rzadko tylko albo w ogóle nigdy nie podlegają karze w jakiegokolwiek formie,

ponieważ zawsze ktoś z ich własnej wiary znajdzie się, kto odznacza się dostateczną znajomością obyczajów i przesądów (*taboos*) plemienia, wśród którego żyją a które nazywa te obyczaje i przesyady prawami, by dać złemu Żydom ochronę."

Zbudowawszy w ten sposób swoją własną, bardzo uproszczoną, teorię o zagadnieniu żydowskim, autor artykułu tłumaczy obszernie dlaczego do tego stanu rzeczy w społeczności żydowskiej doszło. Jest więc zdania, iż istotną przyczyną tej nadmiernej solidarności jest fakt, iż państwowość żydowska trwała bardzo krótko i że Żydzi będąc zawsze prawie mniejszością na obcym terenie, bronili swego zbiorowego istnienia wobec obcości zewnętrznej środkami, w których nie przebiegali.

Przypomniawszy obszernie przyczyny, które doprowadziły do wypędzenia Żydów z Anglii za Edwarda I i związany a tym następnie wzrost rodzimego angielskiego handlu i przemysłu, autor tłumaczy, iż sami Żydzi powinni zająć się rozwiązaniem problemu nie dawania ochrony wśród siebie elementom szkodliwym dla całości, gdyż jest to zarówno w ich interesie jak i społeczeństw wśród których żyją.

Z DZIAŁALNOŚCI SPOŁECZNEJ

SŁOWACY O SWEJ PRZYSZŁOŚCI

CZESKO-Polsko-Słowacki Klub Federalny w Londynie (Sekretariat: Mr. J. Pridavok 7, Wilton Crescent, London, S.W.1.) przejawia działalność we formie odczytów i zebrań. Klub nie reprezentuje polityki oficjalnej żadnego z zainteresowanych rządów, skupia zaś na gruncie londyńskim tych Czechów, Polaków i Słowaków, którzy studiują i dyskutują środki i sposoby powołania do życia w Europie Środkowej związku państw, obejmującego co najmniej Polskę, Czechy i Słowację.

W dniu 13 czerwca b.r. wygłosił w Klubie ciekawy odczyt sekretarz Klubu, a zarazem prezes Słowackiej Rady Narodowej w Londynie, p. J. Pridavok. Odczyt nosił tytuł: "Dlaczego Słowacja, a nie Czechosłowacja" przedstawiał poglądy słowackie na sprawę wyrażoną w tytule. Wywody były bardzo interesujące i dla tego streszczamy je tu, starając się oddać wiernie poglądy prelegenta.

Pierwotną myślą przewodnią budowniczych Czechosłowacji w czasie poprzedniej wojny była równorzędność Czechów i Słowaków w ramach nowego państwa. Od roku 1914 do 1918 myśl ta została wyrażona conajmniej piętnaście razy w wypowiedziach lub nawet umowach dwustronnych zawieranych przez przedstawicieli obu narodów. Pociągająca koncepcja "drugiej Szwajcarii" oślniła członków t.zw. Komitetu nowych państw na konferencji pokojowej w maju 1919 r. W diariuszu tej konferencji czytamy m.in., że przedstawiony przez Dr. Benesa sposób załatwienia zagadnień mniejszościowych był "far beyond anything which the Committee would have felt justified in putting forward." Rząd i sztab generalny francuski popierali Czechosłowację usilnie, bo chcieli widzieć w niej strzelnicę wymierzoną w Niemcy oraz kraj postępowych idei francuskich. Dr. Benesa zaś wraz z licznymi innymi działaczami czeskimi, zdołał "opancerzyć" Czechosłowację niezwykle umiejętnie dobranym zasobem hasel, propagandowych porównań i niemal reklamarskich pomysłów.

Niestety, szara rzeczywistość nie poszła torem świetlanych natchnień. Zamiast równorzędności siedmiu narodów w "drugiej Szwajcarii" narzucono tym siedmiu narodom pojęcie "my, naród czechosłowacki" i wszystko co z tego założenia wypływa. Słowacy — twierdzi p. Pridavok — nie zasnali samorządu, zapoznali się natomiast dobrze z czeskimi więzieniami, w ciągu pierwszych dziesięciu lat Czechosłowacji wytwórczość przemysłu słowackiego spadła o 30-40%. Banki w Słowacji przejął kapitał w 80% czeski. W ciągu dwudziestu lat Czechosłowacji 300 tysięcy Słowaków opuściło oswoobodzoną Ojczyznę w poszukiwaniu pracy i chleba, 300 tysięcy zaś Czechów osiadło w Słowacji. Podatki były w Słowacji większe niż w bogatszych Czechach, usługi zaś kolei np. o wiele droższe. Musieli też Słowacy przetrzymać próbę czeszczenia swojego języka.

W odróżnieniu np. od Węgrów, stanowiących w tym okresie w Czechosłowacji mniejszość uznaną w statutach międzynarodowych, Słowacy nie mogli wnieść zażaleń do Ligi Narodów, gdyż legalnie nie egzystowali: byli przecież tylko "Czechosłowacy."

W ten sposób więc praski system polityczny doprowadził niestety oba bratnie i bliskie sobie narody do ostrego rozłamu — zamiast do zmierzzonego scalenia się w jeden naród "czechosłowacki."

Dzisiejszy stan rzeczy — wywodził p. Pridavok — doprowadził do dalszej faktycznej emancypacji Słowaków we własnym kraju choć na razie pod kontrolą niemiecką. Nikt ze Słowaków nie żywi zresztą złudzeń iż wspólny Czechom, Polakom i Słowakom odwieczny wróg niemiecki z konieczności tylko i do czasu toleruje pewne formy słowackiej niezależności i państwowości. Z chwilą klęski Niemiec stosunki w tej części Europy będą musiały być uregulowane na nowo, na zasadach niezależności i zarazem solidarności trzech bratnich narodów słowiańskich.

P. Pridavok obszernie też określił stosunek Słowaków do Czechów samych. System Republiki Czechosłowackiej dusił także samych Czechów, z wyjątkiem oczywiście tych, co

należąc do warstwy rządzącej, byli "szczęśliwymi Czechosłowakami." Większość jednak uważała się po prostu za Czechów, dla których obrona "Czechosłowacji" była czymś nienaturalnym i w tym leży częściowe wyjaśnienie zagadki, dlaczego świetnie uzbrojone wojsko Republiki Czechosłowackiej przyjęło rozkaz ówczesnego Prezydenta Benesa poddania się Niemcom bez jednego choćby wystrzału na znak sprzeciwu.

Słowacy znają doskonale wielkie cnoty i zalety narodu czeskiego, ale znają też ciężkie błędy przywódców czeskich, którzy nie przebiegali w środkach, by podporządkować sobie zarówno Słowaków jak i Czechów.

Zważywszy wszystkie elementy przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, prelegent wypowiedział się za utworzeniem nowego związku państwowego w rejonie między polskim Bałtykiem a Morzem Śródziemnym. Słowacja leży z samym geograficznym srodku tego obszaru, najłatwiej więc złączyć i spoić może Polskę z Czechami i Węgrzy z Polską. O nieudanej zaś próbie, której na imię było Czechosłowacja, a która z natury swojej nie może mieć zalet Szwajcarii, lecz jedynie wady do niemożliwości okrojonych dawnych Austro-Węgier — należy, zdaniem prelegenta, zapomnieć.

Z żałobnej karty.

ŚMIERĆ HARCMISTRZA RZECZYPOSPOLITEJ.

POLAK W INDIACH, pismo uchodźców polskich wydawane w Bombaju, w N-rze swoim z daty 15 marca — 1 kwietnia 1944 podaje w artykule podpisanym inicjałami M.S. relację o szczegółach śmierci w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, ś.p. Stanisława Sedlaczka, jednego z najwybitniejszych działaczy i ideologów Harcerstwa Polskiego w dwudziestolecie między obu wojnami. Relacja podana jest we formie rozmowy, odbytej w Warszawie, z przyjacielem ś.p. Stanisława Sedlaczka, Kazimierzem, którego nazwisko nie jest podane. Oto tekst relacji:

"Rozmawiałem z człowiekiem, który uciekł z Oświęcimia. Sam jeden. Na własne oczy widział śmierć Sedlaczka. Mieszkał z nim w jednym baraku, w jednej z nim grupie do apelu stawał, w tym samym oddziale pracował. Sedlaczek nie krył się z tym w Oświęcimiu, że jest harcerzem. Rozmówca mój — był harcerz — wiedział o tym, że był Harcistrzem Rzeczypospolitej — jednym z sześciu.

— Jak to się stało?

— Sedlaczek był w obozie krótko. Kilka dni zaledwie. Bóg mu oszczędził długich cierpień. Wyznaczono mu pracę w grupie, której zajęcie polegało na tym, iż wyładowywano złom żelazny z wagonów ciężarowych i z powrotem ładowano na platformy. Pierwszego dnia zaczęło się od bicia... bez żadnej przyczyny. Po prostu nie podobał się. SS-man skatował go kolbą, bił gdzie popadło, już leżącego kopał ciężkimi butami w brzuch, w głowę. Nie można było na to patrzeć... Sedlaczek stracił przytomność. Ocucono go wiadrem zimnej wody i bito dalej. Następnego dnia znów stanął do pracy. Zmaltretowany, osłabiony. Wszyscy go podziwiali za jego postawę, za jego spokojną, uduchowioną twarz — mimo, że każdy swoje ciężkie brzemię tam dźwiga i na śmierć czeka godziny na godzinę, z minuty na minutę.

Nie mógł normalnie pracować. Ta okrutna, ciężka, zabijająca, bo świadomie bezcelowa, praca była ponad jego siły. Ustał, nogi się pod nim ugęty, upadł. Przybiegli rozwścieczeni żołdaci. Przez kilka minut znęcał się dziko nad leżącym — potem chwycił kawałek złomu i po głowie uderzył kilkakrotnie bezbronnego. Rzucił z pasją zakrwawiony kawał żelaza na platformę. Duży pies obozowy, postrach więźniów, chleptał stygnącą, parującą w mroźnym powietrzu krew.

To było mniej więcej w początkach grudnia 1941 roku.

Ciało zabrano natychmiast. Spalono w krematorium, jak inne, jak tyle już."

Tak brzmi relacja o śmierci Stanisława Sedlaczka, jednej z najpiękniejszych postaci Polski odbudowanej po tamtej Wielkiej Wojnie. Był to jeden z tych ludzi, na których stoją społeczeństwa i narody, choć oni sami mogą być szerokiemu ogółowi nieznanymi. Harcerz od młodości, nierozwalnie ze Związkiem Harcerstwa Polskiego złączony, osiągnął najwyższy stopień harcerski, choć nie posiadał w Związku najwyższych godności. Nie przyszedł zresztą do harcerstwa po zaszczyty, nie traktował go jako odskoczni do innych celów, był sam częścią polskiego Harcerstwa. Głęboko religijny katolik, najczystszy patriotyzm Polak, reprezentował w Harcerstwie polskim idee nasze własne, idee naszego rycerstwa, z czasów kiedy Europa była już zmaterializowana. Nie uważał zresztą, że nasze własne koncepcje dzielą nas od innych narodów, lecz — przeciwnie — że w wielkiej rodzinie harcerskiej dają nam legitymację do samodzielnego występowania i starania się, by braterstwo skautowe w dziedzinie międzynarodowej na naszych polskich opierało się zasadach. Filozof, wychowawca, pisarz i organizator zasłużył sobie u polskich harcerzy na lże najszczęśliwszego żalu, w świecie zaś harcerskim w ogóle na coś więcej, niż ta wzmianka w piśmie uchodźców polskich w Bombaju i w "Myśli Polskiej" w Londynie. Jeden z czujnych zórawi chrześcijańskiej cywilizacji europejskiej, jeden z czołowych skautów całego świata zamordowany został przez Niemców w Oświęcimiu. R.I.P.

M.R.

MIMOCHODEM

Z NOTATEK PRZYRODNIKA

"Myśl Polska" nie jest pismem przyrodniczym. W tych jednak ciężkich czasach może nie od rzeczy będzie oderwać myśl Czytelników od spraw ludzkich i skierować ich uwagę na pewne zajmujące objawy ze świata zwierzęcego.

Jest taki duży ptak nocny, nazywa się "puhacz," po łacinie w języku zoologów: *Bubo bubo bubo* (L.) ("O, to ptaszek." — powiedział zresztą o nim mój kolega, który zajmuje się więcej polityką niż ornitologią). Egzemplarz o złych żółtych oczach i nieprzyjemnym wyrazie "twarzy" (nie wiem jak nazwać tę część ciała u ptaka), przyzwyczajony do życia nocnego i skrytej działalności. Oprócz doskonałych oczu, którymi łatwo dojrzy zdobycz ("i złoto" twierdzi mój kolega-polityk), ma większe niż u innych ptaków uszy, którymi ze względu na ciemne i podejrzane otoczenie podsłuchuje najmniej uchwytnie szmer, informujące go o sytuacji. Kość skokowa i palce są gęsto upierzone, co — jak się wydaje — pozwala mu zmieniać stanowisko lekko i bez hałasu. Łatwo go

oswoić, o ile się zna jego słabostki. Woli polować o zmroku i w nocy, ale oswojony pokazuje się czasem i z dzień, jeśli taka jest wola jego pana, lub gdy nocę są za krótkie do łowów (n.p. teraz, w porze letniej).

Siedząc na gałęzi trzyma pióra ściśle przyległe do tułowia i usiłuje udawać w ten sposób inne ptaki. Lata zwykle bardzo nisko, lotem cichym i falistym, chociaż nocą potrafi wzbic się wyżej. Głos puhacza, przeciągle "uuu-huuu-huu" i ostre, chrapliwe "kuik-kuik," poczytywany jest oddawna za zły omen, (Kolega mój utrzymuje, że to przesada: ot, ptaszko drze się tak samo jak głupia gęś lub gawron, a głos jego słychać dlatego, że jest cicho i ciemno). Niezadowolony prychna jak kot i ostro kłapie dziobem, a kiedy jest zły, pochyla głowę, nastrosza pióra, wypina kuper, rozwija ogon wachlarzowato i włoży lotkami po ziemi; podobny jest wtedy do indyka, który zobaczył czerwoną płachtę lub usłyszał gwizdanie; nie wzbudza więc specjalnej grozy.

Puhacz nie jest orłem. Z orłem (zwłaszcza białym — według mego kolegi) nie ma wogóle nic wspólnego. Jest zwyczajną sową. Sową czyli drapieżnym nocnikiem¹⁾ polującym na terenie Wielkiej Brytanii na szczerzy, i to lądowe (*Mus rattus L.*) i wodne (*Arvicola amphibius L.*). Na kontynencie rzuca się na większe zwierzęta: nieraz ulegały mu barany i świny; zabija niekiedy większe ilości osobników dla samej rozkoszy mordowania, poluje też na ptaki ("niebieskie" podpowiada mój kolega) n.p. kaczki ("nie tylko dziennikarskie" dtto), od orłów stroni, chwytą natomiast ryby ("w mętnej wodzie" wtrąca nieznośny polityk.)

Interesujące jest rozmieszczenie geograficzne puhacza. Jest to ptak palearktyczny t.j. ograniczony wyłącznie do uniarkowych i zimnych obszarów Eurazji, pospolity zwłaszcza w krajach o niskiej kulturze; w zetknięciu z prawdziwą cywilizacją zanika. Nie sięga ("choć rad by zapewne" — upiera się mój kolega) poza Himalaje, na obszarach zaś cieplejszych reprezentowany jest miejscami przez gatunki pokrewne. N.p. na półwyspie Pirenejskim występuje gatunek miejscowy *Bubo bubo hispanus* o ubarwieniu nieco mniej jaskrawym, na południowych obszarach Związku Sowieckiego bledszy w kolorze zasadniczym ale jaskrawszy w szczegółach *B. b. ruthenus*, i aż 3 (wyraźnie trzy) gatunki w Palestynie 1) *B. g. aharonii*, 2) *B. b. ascalaphus* i 3) *B. b. desertorum*. Prawdopodobnie istnieją jeszcze inne gatunki tego ptaka, przez ornitologów dotąd nie poznane. Obserwacje utrudnia nocny sposób życia i zanikanie puhaczów w miarę szerzenia się cywilizacji.

Blizsze szczegóły o biologii puhacza znajdzie czytelnik w 5-tomowym dziele zbiorowym "The Handbook of the British Birds" (Witherby, London), skąd powyższe dane zaczerpnął.

HENRYK PTASZNIK

¹⁾ Autor myślał zapewne "nocnym drapieżnikiem" (P.R.)

TREŚĆ Nr. 73 "Myśli Polskiej"

PIĘĆ LAT RZĄDÓW FRONTU MORGES—P. J. BECK MACKIEWICZA PO ANGIELSKU.—P. J. JANECKI. CZY HISTORIA SIE POWTARZA.—Mł. WE CANNOT AID YOU.—J. P. CZEGO SIE UCZYĆ OD ANGLIKÓW.—M. WRÓBLEWSKI. POEZJE.—J. PIETKIEWICZ. NOTY I UWAGI; Z ŻAŁOBNEJ KARTY; MIMOCHODEM.